

OPINIE

Władza nie jest warta złamania groza, zwłaszcza przejęta na mocy kompromisu z wrogiem. Władzę należy brać klasycznym szlacheckim sposobem - z bronią w ręku. Lata krwawych powstań przeciwko zaborcom były dla Polski jaśniejszym okresem, niż czas Okrągłego Stołu. Dzięki Bogu, że jest jeszcze „Solidarność Walcząca”... Notabene, przez ostatnie lata korzystaliśmy z jej materiałów, w których bardzo fachowo instruowano, jak się przygotować na ewentualność stanu wyjątkowego, gdzie przechowywać broń i pieniądze, jak organizować mieszkania kontaktowe... To wszystko leży teraz w moich aktach w KGB; zabrali podczas ostatniego aresztowania.

Waleria
NOWODWORSKA



WOLNI I
SOLIDARNI



POLSKA —
UKRAINA

s.1-10,11,16-18

Niekompilacja lista pa
urzędniców państwowych
1945 - 1990, ujawniona
należymy Antoniego Mac
SEJM
Piotr Fogler (UD, Wursz

AGENCI
RZĄDZĄ
POLSKA

s.13



SOLIDARNOSC WALCZACA

MIESIĘCZNIK NR 6 (292) ROK XI CZERWIEC 1992 r., cena 4500 zł

ISSN 0867-8731

"Musimy wspólnie wychodzić z dołka..." (Rozmowa z oficjalnym przedstawicielem Ukrainy w Polsce, Teodozjem Starakiem).

— *Panie ambasadorze, proszę nam powiedzieć kilka słów o sobie.*

— No cóż... o sobie. Po pierwsze, o czym już w Polsce chyba wszyscy wiedzą, pochodzę z Łemkowszczyzny, z Sanoka. Od 1945 r. mieszkam we Lwowie. Bardzo wcześnie, mając 18 lat, trafiłem do stalinowskiego więzienia. Byłem w łagrze w Karagandzie do 1956 r. Po powrocie od razu zacząłem studiować slawistykę na Uniwersytecie Lwowskim, którą ukończyłem w 1961 r. Potem zostałem na uniwersytecie, gdzie pracowałem 5 lat. Już przy pierwszych aresztach — tych nowych, z czasów Breżniewa — ponownie byłem aresztowany; wprawdzie nie stanąłem przed sądem, ale pozbawiono mnie pracy. A później, los nas wszystkich nazywanych dysydentami, był podobny. W latach 70-tych udało mi się, dzięki temu, że byłem polonistą, podjąć pracę w kijowskim wydawnictwie "Radjańska szkoła", jako redaktor polskich podręczników. Pracowałem tu długo, bo do 1990 r. W tymże roku zwolniłem się z tej pracy i wciągnąłem w wir nowych wydarzeń, jakie zachodziły w Ukrainie. Zacząłem wydawać, początkowo nielegalnie, gazetę Cerkwii Grecko-Katolickiej "Wira batkiw" (Wiara ojców). Tak było aż do przyjazdu tutaj. Jednocześnie, razem z Igozem Kałyniuciem, przygotowywałem do legalnego wydania almanach "Jewsza". Był on już gotowy do druku, ale po moim wyjeździe, nie wiadomo z jakich przyczyn, wszystko uciхло i niestety kwartalnik "Jewsza" nie ujrzał światła dziennego. Tyle krótko o sobie.

Często jestem pytany o to, w jaki sposób trafiłem tutaj jako w istocie pierwszy naprawdę ukraiński dyplomata. Dlaczego mó-

wię: naprawdę ukraiński? Otóż, do tej pory ukraińska dyplomacja niby istniała, czyli byli ukraińscy przedstawiciele w międzynarodowych organizacjach: w ONZ, UNESCO, w Genewie, Wiedniu, ale tak naprawdę byli to radzieccy przedstawiciele. Później, już w 1991r., w kilku państwach, m.in. w Polsce, w Czecho-Słowacji i na Węgrzech wyznaczono przedstawicieli Ukrainy, ale oni również byli na utrzymaniu radzieckich ambasad. Tak więc jestem pierwszym ukraińskim dyplomata, którego wysłano za granicę jako przedstawiciela Ukrainy, którego nie utrzymuje ani radziecka, ani jakkolwiek inna ambasada.

Często jestem pytany również o to, jak to się stało, że to właśnie ja tutaj przyjechałem. Było to dla mnie wielką niespodzianką, spadło, jak przysłowiowy grom z jasnego nieba. Kiedy zaistniała konieczność wysłania ukraińskiego przedstawiciela do Polski wezwano mnie do Kijowa. Problem ten rozpatrywała Komisja Spraw Zagranicznych. Ci, którzy znali mnie od dawna, moi przyjaciele: braci Horyniowie, Kosiw i inni, nie wiem dlaczego, zdecydowali, że najbardziej się do tego nadaję; i tak pojechałem na służbę.

— *Kiedy dokładnie to było?*

— Sam wybór, rekomendacja Komisji Spraw Zagranicznych RN — odbył się jeszcze pod koniec września. 8 IX między Ministerstwami Spraw Zagranicznych Ukrainy i Polski podpisano protokół o wymianie specjalnych przedstawicieli rządów (tak początkowo nazywała się moja funkcja), ale wyjechałem dopiero 18 listopada.

Nie ukrywam, że były pewne siły, które czyniły ku temu wszelkie przeszkody. Poza



Komisją Spraw Zagranicznych i innymi organami państwowymi były siły, którym nie podobala się moja nominacja. Byłem w tym środowisku, nawet w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, swego rodzaju "czarną owcą". Jak wiadomo, nigdy nie byłem członkiem partii komunistycznej. W ogóle nie miałem nic wspólnego z reżimem. Nawet nie byłem pionierem. Wieczny bezpartyjny...

Po drugie przyzwyczajono się tam do rekomendacji Komitetu Centralnego, a tu nagle zjawił się człowiek z innego środowiska. Były pewne trudności. Mimo wszystko 18 listopada przybyłem do Warszawy i od tej pory, w miarę możliwości, sprawuję swoją funkcję.

— *Moje kolejne pytanie związane jest z funkcjonowaniem przedstawicielstwa Ukrainy: jakie trudności wynikły już na miejscu, w Warszawie?*

— Rozumie Pan, tu należy rozgraniczyć o jakie chodzi problemy. Gdy chodzi o trudności materialne lub podobnego charakteru — już dużo o tym mówiłem i nie chcę się powtarzać [m.in. w czasie spotkania w Instytucie Historycznym UW — przyp. red.].

Są jeszcze inne problemy. Chociaż początkowo przybyłem jako specjalny wysłannik rządu (teraz już tymczasowy przedstawiciel Ukrainy), od razu przyjęto mnie tutaj jak pełnoprawnego ambasadora Ukrainy. Była to dobra wola polskich władz, z którymi od razu nawiązałem dobre stosunki. Pewnym problemem jest to, że zostałem obarczony obowiązkami, które powinna wykonywać cała ambasada. Wszystkie te obowiązki wykonywałem sam.

cd. str 10-11

w numerze:

AKTUALIA

Komentarz bieżący	2
K.Morawiecki — Zakłęty krąg	2
R.Lazarowicz — Gdy płaczą	
krokodyle	3
Oświadczenie Związku Więźniów...	3
Do czego zmierzają SW i PW	3-4
R.Lazarowicz — Havel na	
prezydenta	4-5
R.Lazarowicz — Wspólny klucz ..	4-5
R.Lazarowicz — Dąb smalony ..	7
W.Zwiernik — ...tylko dokąd uciec	8
Agenci rządzą Polską	13
Wypowiedź Prezydenta RP	13
K.Brzechczyn — Czy PW umrze	
śmiercią naturalną	15

UWAGI NA MARGINESIE

K. B. — Pogrzeb nadziei	3-4
-------------------------------	-----

ROZMOWY W CZTERY OCZY

Musimy wspólnie wychodzić z dołka	
— rozmowa z Teodozjem	
Starakiem	1, 10-11
Obrońcy Parysa — rozmowa z	
Piotrem Jaworskim	11-12

GOSPODARKA

W.Błasiak — Deficytowe kopalnie —	
czyli węglowe oszustwo...	6-7

ŚWIAT

R.Lazarowicz — Kiedy obudzą się	
Serbowie	8
R.Lazarowicz — Kim jest	
Massoud	8-9
Hańba dla żołnierzy Waszej	
Królewskiej Mości	20

RECENZJE I OMÓWIENIA

M.Sojka — Who is who	
amerykańskiego konserwatyzmu ..	9
M.Kozłowski — „Głos Wielkopolski”	
wobec wydarzeń czerwca...	18-20
J.Darski — Polska — agenci pracują	
także dla nowej władzy	14

LISTY DO REDAKCJI

J.Grębski	12-13
A.Lewandowski	14
R.Veit / Koło Lwówian w Chicago/	16

POLEMIKI

O.Zarudzki — Ku zgodzie	
narodów	16-18

Komentarz bieżący

1. Od „okrągłego stołu” zdrajcy i komuniści toczą podjazdową wojnę przeciwko narodowi. Przez te prawie już trzy i pół roku udało się im wciągnąć w bagno wielu naiwnych albo pozbawionych kośca polityków, znaczną część inteligencji i całego społeczeństwa. Dopiero teraz szeregiem działaczy „Solidarności”, KPN, PC, ZChN, PL, którzy słowem i postawą wspierali zdraziecki układ, przecierają się oczy. Nieliczni przyznają się do błędu stawiania na Wałęsę, mówią o straconym czasie. Lepiej późno niż wcale.

2. Premier Olszewski nie wykorzystał szansy danej mu przez formalnie demokratyczny parlament. Nie przeprowadził zmian w gospodarce, nie ukarał złodziei, nie wyczyścił spraw w wojsku, w UOP, w policji, w sądach i prokuraturze, w bankach, tolerował obok siebie agentów, płaszczył się przed Prezydentem. Premier nie podjął frontalnej bitwy ze współczesną Targowicą, nie odwołał się do społeczeństwa, próbował tylko przechrzcić swych politycznych przeciwników. I częściowo mu się udało. Wreszcie zostaną ujawnione listy agentów. Dalece nie wszystkie i nie tych najbardziej tajnych i powiązanych z Moskwą — podległych wywiadowi i kontrwywiadowi wojskowemu. Czy ta spóźniona, połowiczna operacja uratuje tę ekipę? Wątpliwe. Czujemy się jednak w obowiązku powiedzieć

posłom, którzy będą głosowali wotum nieufności dla rządu mec. Olszewskiego, że ten uwikłany polityk usiłował uczynić coś dobrego dla Polski. I jest on pierwszym, po długiej nocy komuny, premierem — patriotą.

3. Postępowanie Lecha Wałęsy woła o pomstę do nieba. Widać jak kręci, manipuluje, jawnie dąży do dyktatury wojskowo-prezydenckiej. Kolejna kandydatura na szefa rządu Waldemara Pawlaka, dawnego działacza ZSL — przybudówki PZPR, obraża wszystkich, którzy z komunizmem walczyli, obraża ogół Polaków.

4. W razie upadku obecnego rządu nie widzimy w Sejmie sił zdolnych wyłonić lepszą ekipę. Naród nie wytrzyma poszerzającej się biedy, dalszych krętaństw i obłądy. Czekamy więc wybuch społeczny albo zamach wojskowy, albo jedno i drugie. Uważamy, że potrzebne jest masowe poruszenie, wielkie manifestacje przeciw Wałęsie i całemu skompromitowanemu obozowi „okrągłostolowemu”. Oni muszą zostać rozliczeni, muszą odejść. Dopiero to otworzy drogę do naprawdę wolnych wyborów, do demokracji, sprawiedliwości i solidarności.

Przewodniczący
Solidarności Walczącej
i Partii Wolności

Kornel Morawiecki
Wrocław, 4 czerwca 1992 r

ZAKŁĘTY KRĄG

1. „Ratuj Polskę” — krzyknęła do Ojca Świętego starsza kobieta z otaczającego Go tłumu. Papież przestrzegł, że: „Największe zagrożenie dla wolności człowieka jest wówczas, kiedy się go zniewala, mówiąc jednocześnie, że czyni się go wolnym. To jest największe niebezpieczeństwo. I temu trzeba się przeciwstawić. To trzeba sobie uświadomić. Nie można oddać się w ręce pokusy, która wykorzystuje zmęczenie społeczeństwa”.

Kto więc i co nas zniewala? Gdzie, w czyich rękach czai się ta pokusa? Jaki scenariusz i jacy reżyserzy doprowadzili nas do tego zmęczenia. Ojciec Św. omija te — chyba niewygodne dla Kościoła — pytania. Błaga nas o wielką modlitwę. Na pewno potrzebną. Lecz ośmielię się zauważyć, że hierarchia i wielu księży przyczynili się do obecnego rozchwiania wartości i autorytetów, do zamętu społeczno-politycznego. Przez bezkrytyczne poparcie ugody „okrągłego stołu” i akceptację tych elit i takiego, prawie trzyletniego sprawowania rządów, które są konsekwencją tamtego zbytelnego kompromisu z komunistami — wrogami prawdy i wolności.

2. Premier Olszewski wybrał wariant kontynuacji na polu gospodarczym i stosunków zagranicznych, ale wariant przełomu w wojsku i częściowo w policji. Najprawdopodobniej wkrótce skończy się to upadkiem jego gabinetu. Zarówno Belweder, jak i dwie poprzednie ekipy związane z Unią Demokratyczną i Kongresem Liberalno-Demokratycznym głośno wyrażają wolę zmiany premiera. Ale chcieliby, żeby nadciągający wybuch społeczny uderzył w ten rząd, a nie w

następny, który oni wyłonią. Z drugiej strony obawiają się, że gdyby tej ekipie udało się opanować strukturę wojska i MSW, wówczas mogłyby wyjść na jaw różne kompromitujące powiązania. Jeśli obawa przed wybuchem weźmie górę nad strachem przed ujawnieniem agentów i malwersantów, wtedy ci, których sztucznie podzieliła tzw. „wojna na górze”, łaskawie przedłużą niepewny byt obecnego rządu. Gen. Jaruzelski nazwał 13 grudnia 1981 r. „mniejszym złem”. Dzisiejszym politycznym krętaaczom przyjdzie wybierać między mniejszym a większym strachem.

3. W cieniu koalicyjnych sporów i politycznych przepychanek, takich jak sprawa m.in. Jana Parysa, trwa cichy wykup i grabież Polski.

Szwajcarsko-szwedzki koncern ABB za bezcen (mowa jest o 4 mln dolarów i 13,5 mln rozłożonych na 5 lat) przejęła kolejną (po elbląskim „Zamechu” i wrocławskim „Domel-u”) ogniwo polskiej energetyki — łódzką fabrykę — przekładników „ELTA”.

Wręcz dramatycznie brzmią pogłoski o planowanym zakupie za 1 mld dolarów przez międzynarodowy (głównie amerykański) koncern miedziowy ASARCO całego KGHM — największego zakładu wydobywczo-produkcyjnego w kraju (40 tys. zatrudnionych), który w 1991 roku przyniósł około 300 mln dolarów zysku. Jeśli by te pogłoski miały się sprawdzić, my — wszyscy Polacy, za 1 mld dolarów utracilibyśmy istotną część narodowej gospodarczej suwerenności.

Kornel MORAWIECKI

Gdy płaczą krokodyle

Zadziwiające widowisko, wystawiane na wszelkich możliwych narodowych scenach zafundowali nam na przełomie maja i czerwca Europejczycy i wszelkiej maści inni przedstawiciele Jasnogrodu. Zgodnym chórem podnieśli krzyk pod niebiosa, że oto wbrew ich szczytnym ideałom i chęciom dokonuje się zamach na wartości chrześcijańskie, narodowe i ogólnoludzkie, że łamie się konstytucję i godność ludzi, kompromituje nas przed Europą, światem (by nie rzec: kosmosem)... Używają przy tym wszelkich metod — posłowie udają, że ich nie ma na sali, gdy są, *ad hoc* wymyślają przepisy, których nie ma, gazety sięgają po zapomniane już narzędzie fałszywki, "rejtany" odstawia przed zdumionymi kamerami potomek marszałka Sejmu Wielkiego, łkają w mankiet dostojni politycy, tracą nerwy i zdrowy rozsądek żurnaliści. W sumie nie dziwię się. Całe to towarzystwo przez trzy lata wiele energii wkładało w zablokowanie tego, co z pełnym hukiem rozbić ma się wkrótce nad ich głowami. Gdy już zdawało się, że można spać spokojnie, nocne koszmary wróciły,

tym razem z min. Macierewicza w roli straszdyła. Wielu z dotychczasowych krasomówców i nauczycieli narodu zakończy nagle piękną karierę. Uwielbiali kąpać się w potokach wypowiedzianych przez siebie sentencji, stroić przed lustrem mądre miny, a przyjdzie im po raz pierwszy od wielu lat naprawdę spojrzeć w lustro. I ujrzą tam kanalię.

Nie twierdzą, oczywiście, że wszystkie protesty przeciw państwowej weryfikacji kadr pochodzą od osób kiedyś "nieodpowiednio zaangażowanych". Wielu po prostu ma różnorakie interesy — polityczne, finansowe — z ludźmi obciążonymi przeszłością, a jedynie nieliczni demonstrowają naiwną wielkoduszność.

Podchody pod uchwałę sejmową trwają. Jeśli jednak wszystko się powiedzie, być może już wkrótce czekają nas całkiem spore wybory uzupełniające.

Istotnie włożono kij w kłębowski węży. I aż serce rośnie, gdy się na te cuda patrzy.

Romuald LAZAROWICZ

Oświadczenie

My, więźniowie polityczni okresu stalinowskiego, uprzednio żołnierze i działacze podziemnych organizacji niepodległościowych, w imię sprawiedliwości a nie odwetu żądamy bezzwłocznego ujawnienia teczek i innych źródeł identyfikujących agentów polskich i obcych władz bezpieczeństwa, których działania naraziły setki ludzi na śmierć, utratę zdrowia i poniewierkę.

Zatajenie tych nazwisk grozi daleko idącymi konsekwencjami natury moralnej i patriotycznej, ale też godzi bezpośrednio w interes państwa i narodu polskiego. Nieujawnione bowiem zbiorowisko czynnych i chwilowo „uspionych” agentów jest niczym ładunek wybuchowy z odbezpieczonym zapłonem. Zbiorowisko to stanowi rezerwuar, z którego w każdej chwili korzystać mogą ludzie nie darzący sympatią naszego kraju.

Pozostawienie na stanowiskach państwowych agentów jest nie tylko skandalem, ale też naraża Polskę na zarzut braku wiarygodności. Jej przedstawiciele.

Gorączkowe i obłudne działania z zaangażowaniem wielkich sił i nakładów w obronie tych, którzy dopuścili się zdrady wobec własnego narodu, często wobec przyjaciół a nawet rodzin, wskazują aż nadto wyraźnie czyje interesy zostały za-

grożone uchwałą Sejmu Rzeczypospolitej.

Bez ujawnienia tych, którzy za pieniądze, bądź jak powiadali „dla idei” wydawali współpracę a dziś w każdej chwili mogą stanąć do dyspozycji kolejnych zleniowców, wszelkie deklaracje o niepodległości i suwerenności pozostaną pustym, bez jakiegokolwiek pokrycia frazesem.

My, więźniowie polityczni lat 1944-1956, a uprzednio żołnierze i działacze podziemnych organizacji niepodległościowych, walczący z oboma okupantami: niemieckim i sowieckim a także polskimi kolaborantami mamy szczególne prawo, jak i obowiązek domagania się ujawnienia nazwisk oraz danych o naszych oprawcach i denuncjatorach.

Domagamy się tego również przez pamięć o tysiącach zamordowanych przez reżim komunistyczny i przedwcześnie zmarłych po opuszczeniu więzień. Winniśmy to ich pamięci.

Wierzmy, że każdy kto uczciwy, dla kogo dobro Ojczyzny pozostaje wartością nadrzędną, poprzez nasz apel.

Związek Więźniów
Politycznych Okresu
Stalinowskiego.

DO CZEGO ZMIERZA SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA I PARTIA WOLNOŚCI?

„Oprócz ciągłego zaciskania pasa zostaje nam jeszcze zaciskanie pięści”

Kornel Morawiecki

Nasza OCENA SYTUACJI.

Narasta zniechęcenie i rozczarowanie społeczeństwa. Ludzie, którzy jeszcze trzy lata temu z nadzieją głosowali na „Solidarność”, teraz twierdzą, że „za komuny było lepiej”. Maleje zainteresowanie

życiem politycznym, które jest głównie postrzegane przez pryzmat niekończących się sporów i kłótni o wpływy, stanowiska i stolki. Konsekwencją tego wszystkiego jest wycofanie się z życia społecznego znacznej części społeczeństwa. Rozczarowaniu sprzyja tragiczna sytuacja ekonomiczna kraju — spadająca produkcja, zniszczone rolnictwo, bezrobocie i brak

UWAGI NA MARGINESIE

POGRZEB NADZIEI

W ostatnim czasie historia w Polsce znów doznała przyspieszenia. Obalenie rządu Jana Olszewskiego, po tym jak próbował on otworzyć teczkę z danymi personalnymi agentów UB i SB świadczy jak silny jest wywodzący się z Magdalenki obecny układ polityczny.

Niebagatelną rolę w wydarzeniach ostatnich tygodni odegrał Lech Wałęsa. Wcześniej, jego poparcie dla Kołodziejczyka, konflikt z Parysem, postawa wobec traktatu polsko — rosyjskiego wskazuje, iż jest on spoiwem podtrzymującym postkomunistyczny układ polityczny w Polsce. Przypomnijmy, że cała sprawa zaczęła się od tego jak Krzysztof Wyszowski ogłosił, że minister spraw granicznych K. Skubiszewski jest agentem SB. Pod koniec maja na wniosek posła J. Korwina — Mikke Sejm podjął uchwałę o ujawnieniu tajnych współpracowników UB i SB będących obecnie członkami Sejmu, Senatu, Rządu i Kancelarii Prezydenta. W niesłychanie krótkim terminie — do 6 VI minister spraw wewnętrznych miał przedstawić Sejmowi stosowną liczbę osób. Później podobnej lustracji podlegaliby członkowie ciał przedstawicielskich i urzędnicy niższych szczebli.

Wkrótce w środkach masowego przekazu rozpoczęła się nagonka na samą ideę przeprowadzenia lustracji. Wypada żałować, że wspomniana uchwała nie objęła również swym zasięgiem pracowników państwowych środków masowego przekazu. Lech Wałęsa jak zwykle przewlekał sprawę — kluczył i zwlekał. Był za a nawet przeciw. Dwa razy w ciągu tygodnia przyjmował A. Macierewicza. Kiedy jednak widocznie okazało się, że wszelkie naciski nie odnoszą skutku złożył wniosek o odwołanie Rządu. Wniosek ten miał być rozpatrzony na najbliższej sesji Sejmu, na tej, na której również A. Macierewicz miał przedstawić pierwszą listę agentów.

Niestety Macierewicz wykonał uchwałę Sejmu w sposób tak nieudolny i niedbały, że obawiam się iż uległa kompromitacji sama idea ujawnienia agentów. Na przekazanych posłom listach obok prawdziwych agentów znalazły się osoby zakwalifikowane jako „nieświadomi informatorzy” czy „kandydaci na informatorów”. Lista osób zawierała również inne, mniejsze błędy — mylono daty urodzenia, zamieszkania itd. Ponadto w trakcie rokowań z KPN ujawnienie czy utajnienie teczek personalnej Moczułskiego służyło za element przetargowy. A rzuca to poważny cień na bezstronność dokonywanej lustracji.

Sprawę może tłumaczyć pośpiech z jakim uchwała lustracyjna została wykonana. Wiadomo było, że Macierewicz ma czas do 6 VI, po tej dacie rząd Olszewskiego upadnie. I tak też się stało. Podczas sesji sejmowej w nocy z 5 na 6 VI po uchwaleniu budżetu rząd Olszewskiego został obalony. Nowo mianowany premier pochodzący z reżimowego ZSL-u w pozakonstytucyjny sposób przejął dwa kluczowe ministerstwa — MON i MSW.

UWAGI NA MARGINESIE

Tym razem jakoś obrońcy komunistycznej praworządności nie protestowali na to wyraźne łamanie konstytucji. Ministrów może dopiero mianować sejm, a nie premier, czy tym bardziej prezydent.

W taki więc sposób odszedł rząd określający się jako rząd przełomu i nadziei. Władzę objęła koalicja małej trójki /PPG, UD i KLD/, PSL i KPN. W chwili pisania powyższych uwag rokowania trwają. Wydaje się, że obóz neo-Solidarności w chwili obecnej jest tak podzielony, że utworzenie alternatywnego rządu przy jednoczesnym poparciu ZChN-u, PC i UD oraz KLD jest niemożliwe. Obecna koalicja może otworzyć się albo na KPN albo na SLD.

Próba ujawnienia agentów mimo, że dokonana w sposób tak nieudolny i niekonsekwentny stanowiła tak poważne zagrożenie dla powstałego w Magdalence układu politycznego, że wywołało ono natychmiastowe przeciwdziałanie — obalenie rządu. Skuteczność i błyskawiczność podjętej akcji wobec przewlekłych i przedłużających się dyskusji o małej konstytucji, ordynacji wyborczej, obsadzie prezesa NIK-u, ustawy o skarbie państwa, bankowości, prywatyzacji przedsiębiorstw itd. budzi raczej zastanowienie i skłonność do niewesołych refleksji. Czyżby obecnej klasie politycznej w większym stopniu zależało na ukryciu w jej szeregach agentów UB i SB niż na ustanowieniu ustaw konstytuujących nasze życie polityczne i gospodarcze?

K.B.

Havel na prezydenta!

Mimo funkcjonowania polskiego rządu i jego premiera, z różnych kręgów padają w ostatnim czasie rozmaite propozycje wyznaczenia na stanowisko prezesa rady ministrów nowej osoby. Padają nazwiska Romaszewskiego, Modzelewskiego, Mazowieckiego, Olechowskiego itd. Nie należy się dziwić. Ta, z pozoru nieco szokująca praktyka to przecież powrót do źródeł — wracamy po prostu do uświęconego odwieczną tradycją zwyczaju obierania sukcesora tronu jeszcze za panowania aktualnego monarchy.

Nie chcąc pozostawać w tyle, uznałem, że i ja powinienem włączyć się w ten postępowo-konserwatywny nurt. Moja propozycja personalna dotyczy jednak nie jakichś tam — nawet wysokich — funkcji administracyjnych, a najwyższego stanowiska w państwie: prezydenta (zdumiewające, ale w tej dyscyplinie jestem pierwszy w kraju!). Proponuję więc, by prezydentem Polski został Wacław Havel, obecny prezydent Czecho-Słowacji. Od razu przedzam wątpliwości: kilkakrotnie w historii nasze kraje łączyła unia personalna, a skoro wracamy do źródeł... Korzyści z takiego rozwiązania byłyby oczywiste: nareszcie zniknęłaby konieczność utrzymywania całego sztabu interpretatorów i tłumaczy prezydenckich wypowiedzi, wystarczyłoby zatrudnić jedynie

perspektyw. Prywatyzacja gospodarki, która jest warunkiem rozwoju ekonomicznego jest jedynie okazją do wzrastającej fali korupcji, nadużyć i machlojek. Chaos społeczny w naszym kraju pogłębia brak moralnego rozliczenia z komunizmem, pozwalający tym, co niedawno prześladowali każdą niezależną myśl i działalność chodzić w gorliwej obrońców wolności słowa demokracji i dobrobytu. Natomiast „Solidarność”, która 10 lat temu była natchnieniem Polaków i wzorem dla ościennych narodów dziś jest skompromitowanym szyldem kryjącym różnych cwaniaków i karierowiczów. Niewiele również zmieniły pierwsze w naszym kraju wolne wybory parlamentarne — skłócony Sejm, słaby Rząd, niekompetentny i skompromitowany Prezydent są podstawowymi wyznacznikami obecnej sytuacji społeczno-politycznej. Dlaczego tak się stało?

Podstawowa przyczyna zła społecznego w Polsce płynie z „paktowania z diabłem” — z umowy zawartej przez L. Wałęsę z komunistami w 1989 roku. System społeczny potocznie nazywany komunistycznym opierał się na skupieniu w rękach aparatu partyjno-państwowego całej władzy politycznej, ekonomicznej i ideologicznej. Elity tegoż aparatu w obliczu coraz bardziej widocznego bankructwa systemu zawarły umowę społeczną z wyselekcjonowaną przez siebie częścią elit opozycyjnych. W zamian za zagwarantowaną bezkarność w sprawowaniu władzy i prawo do zakładania nomenklatury spółek, komuniści oddali opozycji eksponowanie stanowiska państwowego. Partie wywodzące się z „neo-„Solidarności” — Solidarność Pracy, Unia Demokratyczna, Kongres Liberalno-Demokratyczny, a nawet Porozumienie Centrum pomimo werbalnego głoszenia hasel przyspieszenia, przełomu czy budowy praworządnego państwa nie potrafią do dziś uwolnić się spod wpływu tego układu. Tymczasem wewnątrz nowych elit politycznych ujawnia się to samo, co tak charakteryzowało panowanie komunistów — zachłanna walka o wpływy, władzę i bogactwo.

WSPÓLNY KLUCZ

Paskudny premier

Zaraz po powrocie Prezydenta z Moskwy jego rzecznik, Andrzej Drzycimski pospieszył z oświadczeniem na temat haniebných podstępów rządu, które spętały naszemu prezydentowi ręce podczas jego gościnnych występów. Właściwie jedynie heroizm Lecha Wałęsy i dobroć prezydenta Jelskiego pozwoliły obu stronom wyjść z twarzą z sytuacji namotanej przez niecnego Olszewskiego. Jak można się domyślać z wypowiedzi Drzycimskiego — w tych nerwowych dniach interesu Polski, zagrożonego przez polskiego premiera, zgodnie bronili dwaj dzielni prezydenci. I obronili.

Dziwne, ale przeciwko traktowaniu nas wszystkich jak głupawych bachorów nie zaprotestował dotychczas nikt. Niestety, coraz częściej oficjele demokratycznego rzekomo państwa skrywają fakty za fa-

Przejawem korumpowania się solidarnościowych elit politycznych są raz po raz ujawniane afery i zadziwiająca bezradność naczelných organów państwa — afery alkoholowa, tytoniowa, FOZZ-u, Art-B, czy Spółki Telegraf. W naszej sytuacji społecznej warunkiem mnożenia kapitału nie jest talent czy inwencja, lecz „układy” i „dojścia” do aparatu władzy które zapewniają niczym nie usprawdliwione zyski.

Dalsza ewolucja społeczna jeżeli nic istotnego nie ulegnie zmianie, doprowadzi do wyłonienia się powiązanych ze sobą wąskich elit władzy i kapitału wywodzących się bądź z „Solidarności” bądź z PZPR obok szerokich rzesz spauperyzowanego społeczeństwa.

Celem Partii Wolności jest zablokowanie tego niekorzystnego kierunku ewolucji społecznej, przełamanie niemożności i beznadziei by dokonać w Polsce prawdziwego PRZEŁOMU. Oto zarys najważniejszych działań, które zamierzamy podjąć.

NASZE ZAMIERZENIA

1. Po uchwaleniu przez parlament nowej Konstytucji będziemy domagać się rozpisania nowych wyborów prezydenckich, parlamentarnych i samorządowych.

2. Warunkiem suwerenności każdego narodu i państwa jest jego pełna kontrola nad siłami zbrojnymi, policją, administracją, służbami dyplomatycznymi i sądownictwem. Dlatego też w tych sferach życia publicznego należy przeprowadzić dekomunizację — usunąć stamtąd ludzi skompromitowanych służalczą postawą w czasach PRL-u, aktywistów PZPR-u i stronnictw satelickich, którzy po grudniu 1981 nie oddali legitymacji partyjnych, funkcjonariuszy i agentów SB i KGB.

3. Należy ustanowić zakaz łączenia władzy wykonawczej z ustawodawczą. Posłowie i osoby pełniące funkcje w urzędach centralnej administracji nie powinni zasiadać w radach nadzorczych spółek i przedsiębiorstw, których działalność jest zbieżna z ich aktywnością polityczną.

sadą mających zaspokoić naszą mocno ograniczoną inteligencję bajek. Coraz większa część spraw publicznych rozgrywa się w zaciszu gabinetów, docierając do opinii publicznej jedynie w zniekształconej, szczątkowej formie.

Traktat

W tych dniach po raz pierwszy od trzech stuleci niepodległa Polska zawierała z niepodległą Rosją międzynarodowy układ normujący wzajemne stosunki. Pierwsza rzecz budząca zdumienie i oburzenie to fakt całkowitego zatajenia jego treści. Nie znał jej nikt poza wąskim gronem negocjatorów, ba, tekstu umowy o znaczeniu tak fundamentalnym dla kraju nie znali posłowie, nawet ci, którym powierzono nadzór nad sprawami międzynarodowymi! Układ zawierano za plecami społeczeństwa i jego parlamentarnych przedstawicieli.

Ludzie ministra Skubiszewskiego negocjowali poszczególne punkty umowy ze swymi rosyjskimi partnerami, po czym całość przedstawili rządowi. Tekst umów, nadal trzymany w tajemnicy, został warunkowo zaakceptowany przez radę ministrów. Warunek zaś dotyczył zmiany punktu siódmego, obligującego do tworzenia na bazie obiektów wybudowanych w Polsce przez wojska sowieckie po 1945 r. wspólnych przedsięwzięć polsko-rosyjskich. Założono słusznie, że zaakceptowanie czegoś takiego znakomicie ułatwiłoby Rosjanom pozostawienie w Polsce rozbudowanej sieci agenturalnej (w naszym kraju nadal przecież w najlepszej działają liczni agenci KGB i GRU), zapewniłoby doskonałe podstawy materialne i pozwoliło wręcz na jej rozbudowę. O ostrym sprzeciwie rządu wobec tego punktu umowy poinformowano szykującego się do moskiewskiej wyprawy prezydenta Wałęsę.

Rządowy szyfrogram

Sprawą rutynową i powszechnie przyjętą jest informowanie przebywającej czasowo za granicą głowy państwa o najważniejszych sprawach kraju. Szyfrogram, który Wałęsa otrzymał w Moskwie, zawierał formalne potwierdzenie znanej mu już wcześniej opinii rządu o siódmym punkcie umowy, którą prezydent miał podpisać. Uchwała rządu istotnie wiązała ręce prezydentowi Wałęsie: nie pozwalała mu zrobić olbrzymiego głupstwa. Był on bowiem – jak się zdaje – gotów podpisać cokolwiek, byle tylko podpisać. Rząd wymusił na nim nieco trudu w czasie negocjacji. I to go chyba najbardziej zirytowało. Traktat uzyskał w końcu formę zadowalającą rząd (choć nadal nie znaną społeczeństwu).

Opowieści Sabaty

Burzę z piorunami w wykonaniu Drzycimskiego bezpośrednio zdetonował, jak się wydaje, brak pokory rządu oraz jego osobiste (rzecznika) dążenie do przydania pryncypałowi choć trochę mocno ostatnio nadzarpniętego autorytetu. Żałosny obrazek, malowany przez rzecznika – nasz samotny prezydent w dalekiej Moskwie bohatercko wypinający własną pierś na wichry historii – doprawdy budzi wzruszenie. To przeciw taki nam współczesny Rejtan...

Była też owa malownicza opowieść Sabaty – pardon – Drzycimskiego uwerwurturą przed oficjalnym wycofaniem prezydenckiego uznania dla rządu mec. Olszewskiego. Miała stanowić gwóźdź do trumny dla tego gabinetu. Uczyniła zaś tylko pośmiewisko ze złoustego rzecznika.

Reakcja premiera na wystąpienia rzecznika i jego pana była nader spokojna i wyważona. Moim zdaniem, jak zwykle za spokojna i za bardzo wyważona. Cokolwiek jednak sądzić o obecnym premierze i jakkolwiek oceniać okres jego rządów i jego dokonania, jedno pozostanie niewątpliwie jego zasługą: ocalenie nas przed owym, na rozmaite sposoby bronionym przez ludzi prezydenta, nie-szczęsnym punktem siódmym.

Agent?

Sprawę odpryskową afery z traktatem stanowi problem ministra spraw zagranicznych. Jego gra była dość ciekawa: będąc członkiem rządu Olszewskiego starał się cały czas prowadzić dyskretną grę "pod prezydenta". Tak też zachowywał się w Moskwie, choć po powrocie do kraju zmuszony był świadczyć za swoim szefem, tzn. premierem. Przypomnijmy jeszcze, że to właśnie podwładni Skubiszewskiego upierali się przy punkcie siódmym, twierdząc, iż jest on niemożliwy do negocjacji.

Sprawa zaczęła się rozmywać, gdy bomba (czy raczej mina) wybuchła z dość nieoczekiwanej strony. Oto były doradca premiera Krzysztof Wyszowski publicznie wyraził domniemanie, że Krzysztof Skubiszewski jest byłym agentem Służby Bezpieczeństwa. Sam zainteresowany, indagowany przez dziennikarzy, powiedział, ostrożnie, iż "zastanawia się", czy Wyszowskiego podać do sądu. Wymowa owego "namysłu" jest, niestety, raczej jednoznaczna.

Klucz

Sądzę, iż wiele spraw w Polsce (w tym także te, o których wyżej) ma wspólny, choć na ogół nie dostrzegany, klucz: odmiennie niż w innych krajach wychodzących spod komunizmu, u nas nie przeprowadzono żadnych weryfikacji kadry, żadnej dekomunizacji, żadnego przeglądu. Samo pojęcie dekomunizacji umiejętnie ośmieszono i wyprano z wszelkiego sensu. Gdy pada to słowo również mnie samemu usta składają się do ziewania. Korzystają z tego, oczywiście, dawni (i obecni) agenci, umieszczeni na wielu kluczowych stanowiskach. Piszę o tym z pełnym przekonaniem – tak przecież było w Czecho-Słowacji i innych krajach dawniej komunistycznych. Skrajną naiwnością byłoby uważać, że u nas jest inaczej. Tylko, że tam zdecydowano się bronić społeczeństw przed agentami – u nas, jak dotychczas, na odwrót. Skutków jest wiele i wszystkie, niestety, negatywne: zacołanie polskich reform, zupełny brak stabilności politycznej kraju, afery gospodarcze, niechęć obcego kapitału do inwestowania tu itd. Najważniejsze może jest zaś to, że my, społeczeństwo, nigdy nie możemy mieć pewności, co do osób zajmujących czołowe stanowiska, decydujące przecież o naszym życiu, czy reprezentują rzeczywiście nas, czy kogoś zupełnie innego, kto im płaci, albo kto ich szantażuje.

Szczypta optymizmu

Wypowiedź jednego Krzysztofa o innym spowodowała jednak, że "coś się ruszyło". Posłowie zobligowali ministra spraw wewnętrznych do rozpoczęcia przeglądu teczek osób publicznych i ujawnienia agentów. Być może fakt ten stanowić będzie początek zmian w naszym kraju. Oby! Mój optymizm jest jednak niezwykle wąty i rachityczny. Życzcie mu, drodzy Państwo, zdrowia.

Romuald LAZAROWICZ

Havel na prezydenta —cd

tłumacza z czeskiego na polski. Ponadto zamiast potoków deklaracji mielibyśmy wreszcie jakieś decyzje, zamiast gadania o prywatyzacji mielibyśmy prywatyzację, zamiast rozprawiania o dekomunizacji – dekomunizację, zamiast bajania o "dynamizacji" – działania. Itp.

Polska od dwóch lat odwróciła twarz od swego najbliższego sąsiedztwa. Imponuje nam bli-chtr Zachodu, jego dobrobyt, jego standardy życia. Powszechne są nadzieje – z gruntu irracjonalne – że jakiś cud spowoduje, iż nagle, bez specjalnego wysiłku znajdziemy się "w Europie", że dorównamy jej poziomem życia i konsumpcji. Stoimy wciąż przed barierą odgradzającą nas od tamtego, "lepszego" świata, wpatrzeni w jego błyskotki, niezbyt się interesując jego faktycznymi problemami. A prze-



cież za plecami mamy całą rozległą krainę Europy Wschodniej, znaną, w pełni zrozumiałą, o wspólnej historii i doświadczeniach, pokrewnych językach. Dlaczego nie szukać porozumienia i zbliżenia właśnie tu, w najbliższym sąsiedztwie? Dlaczego nie wiązać się w naszej części Europy w regionalne związki handlowe, kulturalne, polityczne? Zamiast gadać o jakichś tam chimerycznych EWG-bis czy NATO-bis podjąć rzeczywiste, konkretne działania, rozpocząć wymianę młodzieżową, nawiązać współpracę agencji prasowych, stacji telewizyjnych, gazet! O ile więcej mamy wspólnego z Ukrainą, Czechami, Słowacją czy Białorusią niż z jakimkolwiek krajem Europy Zachodniej! Dlaczego więc wciąż gonimy za mrzonkami?

Moje wołanie "Havel na Hrad!" niekoniecznie musi być rozumiane dosłownie, choć niesie ono ideę rzeczywiście bardzo mi bliską. To symbol tego wszystkiego, co uważam za ważne: to rozpoczęcie intensywnego budowania realnego i możliwego – wspólnej przyszłości wolnych narodów Europy Wschodniej.

Romuald LAZAROWICZ

DEFICYTOWE KOPALNIE

czyli węglowe oszustwo stulecia

Polskie górnictwo węgla kamiennego jest w sposób zaplanowany wyniszczane finansowo i technicznie. Celem tej akcji jest wyeliminowanie Polski z rynków zbytu węgla na rzecz głównie USA, Australii i RPA. Jest to ukryta gra o 1,5 mld dolarów USA rocznie, a o 30 mld dolarów w ciągu kilkunastu lat.

Kto kogo dotuje?

Przeciętny Polak jest przekonany, że górnictwo węglowe jest nierentowne i że budżet państwa stale do niego dopłacał. Powszeczeństwo zaś tego przekonania potwierdzałaby teza Josepha-Goebbelsa, hitlerowskiego ministra propagandy, że *kłamstwo powtarzane po tysiącach staje się prawdą*. W kampanii dezinformacji na temat górnictwa, wykorzystuje się głównie fakt, że przeciętny człowiek zwykle nie wie, iż *wyniki finansowe kopalń węgla nie mają wiele wspólnego z rzeczywistą rentownością czy nierentownością*. Ceny węgla były bowiem kształtowane w sposób administracyjny.

W Polsce tzw. "dotowanie górnictwa" wygląda mniej więcej tak, jakby żona pobierała wypłatę męża bez jego zgody, wydzielając mu co miesiąc z tej wypłaty na liche piwo i papierosy, sąsiadom zaś opowiadała, że musi do swego męża dopłacać.

Aby zrozumieć całą groteskowość przekonania o nierentowności wydobycia węgla w Polsce, nie trzeba nawet wykonywać rachunku symulacji ekonomicznej. Wystarczy wyciągnąć proste wnioski z porównania kosztów wydobycia naszego węgla, z cenami światowymi węgla o analogicznej jakości. Tylko bowiem takie porównanie, podobnie jak i w stosunku do wszystkich innych produktów i usług krajowych, odpowiada na pytanie o rentowność. Gdybyśmy więc chcieli zastąpić nasz ponoć "deficytowy węgiel" węglem importowanym, to w cenach światowych z 1991 roku, najtańszy węgiel sprowadzony do Polski musiałby już przed wyładunkiem w porcie kosztować od 42 do 52 dolarów za tonę, w zależności od jego jakości. W centrum kraju ten sam węgiel kosztowałby najtańiej 62 do 72 dolarów. Tymczasem średni koszt wydobycia tony węgla w Polsce wynosił 313,6 tys. zł, czyli 28,5 dolara za tonę licząc po 11,0 tys. zł za dolara. Średnio zaś nasze kopalnie sprzedawały węgiel po 279,2 tys. zł za tonę, czyli po 25 dolarów.

To nie górnictwo jest dotowane. To górnictwo w sposób ukryty dotuje budżet państwa i inne branże. Z rachunku symulacyjnego autorstwa dr Gabriela Krausa wynika, że górnictwo węglowe wytworzyło w samym tylko 1990 roku, faktyczną, acz ukrytą w cenach, czystą nadwyżkę ekonomiczną w wysokości 33 bln zł, czyli blisko 3,5 mld dolarów przy ówczesnych cenach. Tę nadwyżkę przejął właśnie budżet państwa i inne gałęzie.

Reformować, by zniszczyć

W październiku 1989 roku ówczesny szef OKP Bronisław Gerek stwierdził publicznie, że jedną z głównych przyczyn trudności finansowych gospodarki jest nierentowne górnictwo. Stwierdził też, że problem ten zostanie rozwiązany przez stworzenie takiego systemu finansowego, który zniszczy nierentowne jego zdaniem kopalnie.

Tak się też stało. Stworzono system finansowy, w ramach tzw. "reformy rynkowej", który w ciągu lat 1990-1991 wyniszczył całe górnictwo węglowe. Wydobycie spadło o 38 mln ton a eksport o 8 mln, zaś zadłużenie kopalń wyniosło na koniec 1991 roku już 10 bln zł.

W 1990 roku uwolniono bowiem ceny produktów zaopatrzeniowych górnictwa, ale utrzymowano administracyjnie sztucznie niskie ceny węgla. Były one niższe od kosztów wydobycia. Kopalnie zostały zmuszone do sprzedawania węgla ze stratą. Tych strat w postaci sztucznego deficytu nie rekompensowały jednak w pełni tzw. "dotacje". Kopalnie zaprzestając nawet nowych inwestycji przygotowujących nowe złoża do wydobycia, zadłużały się i tak coraz bardziej w bankach. Dlatego w tej chwili są bankrutami. Wszystko to działo się w ramach hiperrecesji zorganizowanej realizacją programu dostosowawczego Międzynarodowego Funduszu Walutowego (tzw. "program Balcerowicza"). Spowodowała ta recesja raptowny spadek zapotrzebowania na węgiel w kraju. Kopalnie dusiły się od nadmiaru

węgla i ograniczały wydobycie, gdyż nie mogły wyeksportować nadwyżki za granicę.

Dwa kolejne polskie rządy pomyślały bowiem i o tym, ograniczając i hamując eksport. Robiono to przez nie spotykane na świecie opodatkowanie własnego eksportu węgla, w wysokości 80% w 1990 roku, do 20% w 1991 roku. Czyli, że jeśli kopalnia sprzedawała za granicę węgiel po 500 tys. zł za tonę, to państwo zabierało jej z tego najpierw 400 tys. zł, a potem 100 tys. zł. A jeszcze na wszelki już wypadek wprowadzono limity eksportowe, dusząc ceny krajowe niezależnie od administrowania nimi.

W samym roku 1991 dzięki takim limitom doprowadzono do spadku polskiego eksportu o 7,7 mln ton mimo stałej nadwyżki węgla w Polsce i ograniczaniu z tego głównie powodu wydobycia. Przy średniej cenie 49 dolarów za tonę, jaką płacono za polski węgiel, oznacza to, że straciliśmy w ten sposób w zeszłym tylko roku do 380 mln dolarów. Co gorsze jeszcze, straciliśmy część tradycyjnych rynków zbytu, które trudno będzie odzyskać, o ile w ogóle będzie możliwe. A to oznacza, że faktyczne straty jeszcze w tym roku trzeba powiększyć o dalsze miliony dolarów.

Kolejnym "misjom węglowym" Banku Światowego udostępniono też wszystkie strategiczne informacje o naszym górnictwie. Umożliwiają one precyzyjną ocenę możliwości ekonomicznych i techniczno-produkcyjnych tej branży. Są kartą przetargową w rękach polskich konkurentów węgla, której już użyto w rokowaniach handlowych z Japonią. Było to ewidentne przestępstwo przeciwko interesom państwa, gdyż złamano ustawę o tajemnicy państwowej z 1982 roku.

Dlaczego wyniszczono górnictwo?

W efekcie powyższych zjawisk górnictwo zapędzono w ślepy zaułek. Ścisłej mówiąc, dało się tam zapędzić, przy zgodnej a wieloletniej współpracy w tym dziele Krajowej Komisji Górnictwa NSZZ "Solidarność", Związku Zawodowego Górników, Związku Zawodowego Dozoru Górniczego "Kadro", posłów i senatorów województwa katowickiego i oczywiście czołowego aktora, czyli Państwowej Agencji Węgla Kamiennego, by wymienić tylko główne instytucje.

"Dotacje" cofnięto, kopalnie zadłużono w sumie na biliony złotych, w kraju jest nadmiar węgla, a eksportować nie można, bo utracono tradycyjne rynki zbytu, zaś zduszone ceny krajowe nie gwarantują rentowności wydobycia, a więc czas zamykać kopalnie i redukować załogi. Górnictwo zostało doprowadzone do takiego stanu, że będzie już dalej mogło tonać samo, bez ingerencji państwa. Zdola jeszcze samofinansować zamykanie kopalń, bo budżetu na to w pełni nie stać.

Zrealizowano w ten sposób zalecenia MFW i Banku Światowego. Obie te instytucje reprezentują i realizują bowiem interesy gospodarcze najbogatszych krajów świata, w tym głównych konkurentów polskiego węgla, zwłaszcza USA, Australii i Kanady. Chodziło o to, by wyeliminować polski eksport, zwłaszcza z obszaru Europy, gdzie nasz węgiel jest nie do pobicia, gdyż nie musi przemierzać oceanów.

A zalecenia Banku Światowego są niezmiennie od 1986 roku – zlikwidować eksport i w miarę możliwości przejść na import węgla energetycznego. I trzy kolejne polskie rządy M.F. Rakowskiego, T. Mazowieckiego i J.K. Bieleckiego – skrupulatnie to realizowały.

O tym, że likwidacja eksportu i przejście na import nie ma nic wspólnego z ekonomią, zaś wszystko z zaleceniami Banku Światowego i MFW, świadczą elementarne wręcz fakty. Oto minister przemysłu Mieczysław Wilczek niespodziewanie oświadcza publicznie w 1989 roku, że Polska już wkrótce zaprzestanie całkowicie eksportu węgla, czym wprawia w panikę naszych tradycyjnych odbiorców. Oto w lipcu 1990 roku minister przemysłu Tadeusz Syryjczyk stwierdził publicznie, że do 2000 roku przewidywany jest tylko eksport węgla koksującego i import węgla energetycznego. Półoficjalnie mówiono wówczas o konieczności zamknięcia 18-20 kopalń oraz o imporcie 27 mln ton węgla z Australii i RPA już w 2010 roku (choć nie wiadomo dlaczego akurat stamtąd). I do jednoznacznej oceny tych "propozycji" najważniejszy jest fakt, że nie mogły

roku (choć nie wiadomo dlaczego akurat stamtąd). I do jednoznacznej oceny tych "propozycji" najważniejszy jest fakt, że nie mogły mieć one jakichkolwiek ekonomicznych i technicznych podstaw. Brak było bowiem nie tylko szczegółowych analiz techniczno-ekonomicznych poszczególnych kopalni. Brak było w ogóle bilansu paliwowo-energetycznego kraju, na podstawie którego można by ocenić zapotrzebowania na węgiel kraju.

Ignorancja czy agenturalna działalność?

Akcji wyniszczania górnictwa towarzyszyła i nadal towarzyszy kampania na ogół dyskretnej, acz czasem bezczelnej dezinformacji. Polega ona na nieustannym podsumowaniu tezy o nierentowności polskiego górnictwa.

Ile w tej kampanii zwykłej ignorancji i głupoty a ile złej woli, to naprawdę trudno ocenić. Przy powszechnym zalewie niekompetencji, aż do niechlujstwa myślowego włącznie, istotnej roli ignorancji wykluczyć nie sposób. Ale też przy stawce 30 mld dolarów nie sposób wykluczyć złej woli. Ta zła wola w języku wywiadów i kontrywywiadów świata nazywa się "cover action" ("akcja maskowana"). Polega na agenturalnym wpływaniu na opinię publiczną danego kraju przez tzw. "agentów wpływu". Ci "agenci wpływu" to pozyskiwane w różny sposób publicznie znane i cieszące się uznaniem społecznym. Ich sterowanie co do czasu, treści i formy wypowiedzi, są nagłaśniane specjalnie w społeczeństwie przez tzw. "pudło rezonansowe". Te "pudła" to dziennikarze, gazety czy całe instytucje, które "rezonansują", nagłaśniając poglądy "agentów wpływu". Czynią to czasem bezwiednie i z głupoty. W ten sposób w wyniku zorganizowanej agenturalnie akcji a przy beznamiętności czy bezsilności własnych ośrodków opiniotwórczych, powstaje w społeczeństwie powszechne przekonanie, że lansowane i stale nagłaśniane poglądy są w sposób bezdyskusyjny prawdziwe. Każdy zaś, kto mówi inaczej jest "oszołomem" lub ma jakiś interes do załatwienia (np. reprezentuje "lobby górnicze").

Od 1989 roku prowadziliśmy, wraz z inż. Rudolfem Kottasem i dr Gabrielem Krausem, naszą wręcz prywatną, a przy tym beznadziejną ze względu na siłę przeciwników, wojnę o ratowanie polskiego górnictwa. Tę wojnę już teraz przegraliśmy, przynajmniej w zasadniczej części. Przy okazji możliwości jej podsumowania, pragnę publicznie zapytać Ministra Sprawiedliwości RP, dlaczego kierując do Trybunału Stanu sprawę o zniszczenie akt byłego Biura Politycznego KC PZPR, nie uznał za celowe również skierowania do

tego Trybunału sprawy o zniszczenie polskiego górnictwa węgla? Do Czytelników mam natomiast pytanie o to, jak długo może istnieć w środku Europy państwo, w którym prokurator wojewódzki prowadzi dochodzenie w sprawie zaniżenia cen sprzedaży samochodów służbowych, zaś prokurator generalny nie raczy dochodzić straty 380 mln dolarów, zawinionej przez najwyższych urzędników jego państwa?

Wojciech BŁASIAK

Autor jest ekonomistą i socjologiem, adiunktem w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach (Przedruk za "TAK")



"Odchodzimy z dumą i honorem zostawiając pokój na polskiej ziemi" – głosił transparent wystawiony przez sowieckie wojska opuszczające Świętoszów.

Duby smalone

czyli

Kazań Dubynina ciąg dalszy

W Świętoszowie koło Bolesławca odbyło się uroczyste formalne przekazanie garnizonu – z rąk sowieckich w polskie. Formalne, bowiem długie jeszcze miesiące trwać będzie opuszczanie miasta i koszar przez sowieckich wojskowych i ich rodziny. Spośród ponad 500 obiektów władzom polskim przekazano na razie jedynie 36. Mimo to "pompa", jaką z tej okazji urządzono, była wspaniała, a "uświetnił" ją uwielbiający występowanie w roli Pana i Nauczyciela Narodów generał Dubynin.

Przemawiając pod transparentem głoszącym: "Odchodzimy z dumą i honorem zostawiając pokój na polskiej ziemi", sowiecki generał podkreślał gest dobrej woli, jaki jego wojsko czyni pod adresem Polaków, wycofując się ze Świętoszowa "przed terminem" (czyli 47 lat po wojnie!). Następnie padły z jego strony pouczenia i połajanki wobec strony polskiej: a to że prezydent Wałęsa gołostownie pomawia żołdatów o handel bronią ("należy przedstawić chociaż jeden dowód"), a to polskie gazety "przedstawiają w fałszywym świetle" sowieckie wojska wmawiając im dewastację przyrody – to nic, że opuszczane przez Sowietów tereny jeszcze przez kilkadziesiąt lat nie będą się nadawały do niczego innego jak do chemicznej dezak-

tywacji. W ojczyźnie Dubynina taki stan jest normą, o co więc tyle hałasu?

"Dwa pokolenia Polaków – okrągłym zdaniem kończył swe wywody gen. Dubynin – przeżyły na swojej ziemi bez wojny, co nigdy nie zdarzyło się w historii Polski. Swoją udział miały w tym wojska ZSRR w Polsce i NRD".

Chciałbym – nieśmiało, bo mam do czynienia z tak wytrawnym znawcą historii Polski – sprostować: od stłumienia przez wojska rosyjskie Powstania Styczniowego 1863 r. do rozpoczęcia pierwszej wojny światowej, a więc przez 50 lat kolejne pokolenia Polaków żyły na swojej ziemi bez wojny i... miały w tym swój udział wojska rosyjskie. Ponieważ zaś tamten okres pokoju był nieco dłuższy niż ten zapewniony nam przez kamratów Dubynina, zatem nasza wdzięczność dla carskiej Rosji powinna być proporcjonalnie nieco większa... No, powiedzmy, o jakieś 6–7% większa.

Zdaję sobie sprawę, że dochodzące nas z pewną regularnością kuriozalne wypowiedzi Dubynina są odbiciem szerszego zjawiska – konieczności zaradzenia własnej frustracji spadkobierców sowieckiego imperium. Chcieliby odwołać się do czegoś dobrego i słusznego, do jakiejś tradycji czy idei. Ponieważ zaś coś takiego nie istnieje, stwarzają sobie namiastkę – oni mimo wszystko, niezależnie od ustroju (który, przyciśnięci do muru, są nawet w stanie potępić), bronili u nas pokoju. Nie byli tu bezużyteczni, chronili nas, nawet przed nami samymi. Innym przejawem tego samego zjawiska jest odradzanie się w Rosji idei pansłowianizmu – braterstwa narodów słowiańskich, których "naturalnym" przewodnikiem i "mateczką" jest Rosja.

Na razie to wszystko – i w wydaniu kabaretowego generała, i rosyjskich miłośników słowiańszczyzny – jest zdecydowanie śmieszne. Oby kiedyś nie stało się groźne.

Romuald LAZAROWICZ

Kiedy się obudzą Serbowie?

W połowie XVII wieku mój pra-pradziadek musiał uciekać z Serbii, okupowanej przez Turków ojczyzny, o której wolność walczył. Przyjechał konno do Polski, gdzie wziął udział w walce z tym samym wrogiem. Zdobył szybko uznanie i... nowy, polski herb rodowy. Od tego czasu moja rodzina na dobre i złe związała swój los z Polską. Ale pamięć o serbskim protoplaście przetrwała przez wieki w rodzinnej legendzie.

Dziś, gdy od miesięcy z Jugosławii dochodzą codziennie echa kolejnych wojen: w Słowenii, Chorwacji, w Bośni; gdy Serbowie ulegając czerwonej megalomanii narodowej bombardują wsie i miasta, mordują ludzi, niszczą kościoły i pomniki historii – zaczynam się wstydić. To przecież moi odlegli krewniacy. Co stało się z tym dumnym narodem, którego ducha nie złamała czterowiekowa niewola? Co powoduje, że ów lud, niegdyś prześladowany, niesie dziś innym śmierć, zniszczenie, cierpienie i rozpacz?

Mimo wszystko mam nadzieję. Ufam, że znajdą się mądrzy i odpowiedzialni przywódcy serbscy, którzy powstrzymają masakrę, zrzucą z siebie komunistyczną skorupę, zaplanują nad szaleńcami, i odnajdą w sobie odwagę podejmowania trudnych kompromisów. Tylko na co oni czekają?

Romuald LAZAROWICZ

...tylko dokąd uciec?

"Przenieś się w krainę marzeń" – namawia jedna z popularnych (czy raczej natrętnych) reklam. I być może hasło to stanowi jedyną rozsądną receptę na bezpieczne i zdrowe przebycie naszej, polskiej współczesności: zamknąć się przytulnym kokonem własnych marzeń, nie wpuścić tu hałasu, błota i tandety świata zewnętrznego. Taki darmowy narkotyk nierealności, niweczący przynajmniej na moment ból przeżywania rzeczywistości. Eskapistyczne tendencje większości społeczeństwa przybrały takie rozmiary, że są wręcz mierzalne statystycznie, co stanowi pewien fenomen wśród krajów uznawanych za cywilizowane.

Jednym z najważniejszych motorów ludzkiej aktywności jest nadzieja. Jest tym cudownym zjawiskiem, które w najtrudniejszych warunkach, w najbardziej mrocznych czasach pozwala ludziom wyjść z życiem i dochować wierność sobie. Brak nadziei natomiast gorszy jest może nawet od braku wolności – blokuje wszelkie utajone rezerwy, hamuje rozwój, demoralizuje i powoduje stagnację – w skali jednostkowej, jak i społecznej.

Niestety, sytuację, która coraz wyraźniej wyłania się z bezkształtu trzech lat naszej względnej niepodległości, określiłbym jako zorganizowany (w miarę) system beznadziei. Wszelkie – bez wyjątku – największe

autorytety narodowe zawiodły w haniebny sposób, mechanizmy (jak demokracja, wolny rynek), które – zdawałoby się – powinny samoczynnie napędzać społeczną aktywność, stały się swą własną żalosną karykaturą. Okaleczone, obolale – lecz bogate przynajmniej w nadzieje i marzenia – społeczeństwo wychodzące z dziesięcioleci komunizmu, zostało poddane w ciągu ostatnich trzech lat terapii szokowej. Trzeba być doprawdy mocarzem, by choć ślad tej kuracji nie pozostawił swego śladu na duszy człowieka czy narodu.

Ucieczka od polityki, pogrążenie się w lokalnych plotkach i wydarzeniach na skalę rodziny – to wszystko obserwujemy na co dzień. Wojny na górze czy inne burze w szklance wody obchodzą zgoła wyłącznie samych zaangażowanych w te "wielkie" wydarzenia bohaterów, zamiera myślenie w skali narodu, kraju czy państwa.

Dokąd zmierzamy? – stawiam sobie pytanie ja, jeden z dinoozaurów, i łapię się na tym, że i mnie coraz mniej interesuje odpowiedź, że coraz bardziej pogrążam się w irytacji. Rzeczywiście coraz bardziej chciałoby się stąd uciec. Tylko dokąd?

Wojciech ZWIERNIK

Czy imperium sowieckie się rozpada?
Czy może w takim myśleniu jest wada?
— Kto to wie;
— KGB!

Grzegorz DOBOSIEWICZ

KIM JEST MASSOUD?

Robert D. Kaplan napisał w "Wall Street Journal" (5.5.1992): "W latach osiemdziesiątych dobrze poznałem innych przywódców mudżahedinów, liczących się obecnie na militarnej scenie Kabulu: Gulbuddina Hekmatia, Dżalaluddina Hakkani i Abdula Haq. Nigdy jednak nie spotkałem Massouda, a przyczyna tego jest istotna.

Choć Pakistan stanowił zaplecze sił zbrojnych mudżahedinów walczących z Sowietami w Afganistanie, Massoud nigdy nie zaprzęgał sobie głowy składaniem wizyt. Nie było go tam, gdzie przybywali amerykańscy biznesmeni, kamery telewizyjne i dziennikarze jak ja. Massoud miał coś znacznie ważniejszego do robienia: walkę. (...) Jego Dolina Pandższir była odległa od najbliższego łączy satelitarnego czy amerykańskich dyplomatów."

Słowa te doskonale charakteryzują sylwetkę Ahmeda Szacha Massouda, obecnego ministra obrony narodowej Afganistanu. W przeciwieństwie do niektórych innych dowódców – nigdy nie zabiegał o popularność w zachodnich mediach. Miesiąc po miesiącu, rok po roku, na podległym mu terenie systematycznie budował militarno-państwowe struktury wolnego Afganistanu.

Ten niewysoki, urodzony ok. 1950 r., Tadżyk, posługujący się płynnie językiem francuskim, rozpoczął swą wieloletnią walkę w roku 1978, kiedy władzę w Afganistanie objął komunistyczny rząd Mohammada Tarakiego. W krótkim czasie wokół Massouda sku-

piły się tysiące bojowników. Jedynie jego oddziały zdolne były zdecydowanie stawić czoła sowieckiej agresji w grudniu 1979 r. Zyskał sobie wkrótce dumne miano "Lwa Pandższiru", w tej bowiem dolinie znajdowała się główna baza komendanta. Wysokie góry, wąskie przejścia, jaskinie i rozpadliny stanowiły dobre schronienie dla partyzantów i ludności cywilnej. Jednak na tym właśnie, niewielkim obszarze skupiła się olbrzymia sowiecka siła uderzeniowa. Trwające miesiącami naloty dywanowe, rajdy helikopterowe, masakry kobiet, dzieci i... zwierząt. W ciągu czterech lat (1979–1983) liczba ludności Doliny zmalała o połowę. Liczbę zabitych w wojnie z Sowietami w całym Afganistanie ocenia się na przeszło milion.

Mimo skrajnie trudnych warunków wojny totalnej młody komendant zdołał przez te wszystkie lata nie tylko utrzymać praktycznie suwerenność Doliny, ale stworzyć tam nowoczesną administrację, sieć szkół, sądownictwo, system podatkowy itp. Z czasem administracja Massouda objęła tzw. Pięć Prowincji Północy, olbrzymi obszar Afganistanu, wyjęty spod sowieckiej kontroli. Agresorzy zajmowali jedynie największe garnizony, w terenie zaś działali ludzie Massouda.

Decyzja Amerykanów o przekazaniu afgańskim partyzantom odpalanych z ręki rakiet *stinger* pozwoliła zlikwidować sowiecką przewagę w powietrzu. Teraz już każdy lot maszyn bojowych, bezkarny dotąd, wiązał

się ze sporym ryzykiem. Uchodzący w świecie za prymitywnych góralskich Afgańczyków świetnie dawali sobie radę z najnowocześniejszym sprzętem bojowym i mieli olbrzymią liczbę zestrzelonych helikopterów i bombowców armii sowieckiej. Ograniczono w ten sposób zagrożenie, które determinowało przez pierwsze lata okupacji życie Afgańczyków na prowincji.

Massoud wyróżnia się rzadką a cenną cechą wśród polityków afgańskich: umie sobie zjednywać lojalnych sojuszników i podwładnych, zna również trudną sztukę pertraktacji i kompromisu. Dotyczy to zresztą nie tylko sceny wewnętrznej. Podczas gdy inne ugrupowania polityczno-partyzanckie związane były z określonymi państwami wspierającymi ich walkę, ugrupowanie Massouda (*Dżami at Islami*) potrafiło uzyskać pomoc (broń, pieniądze) i od komunistycznych Chin, i od Amerykanów, i od Iranu, nie wiążąc się z nimi politycznie.

Komendant Massoud jest jednym z największych geniuszy wojny partyzanckiej – porównuje się go często pod tym względem do Mao Tse Tungiem, Tito i Che Guevarą (ma to go komplementować, choć wątpię, czy jemu samemu te porównania się podobają). Do rangi sztuki doprowadził taktykę nekowania wroga i unikania starcia frontального. Dzięki niej uzyskiwał sukcesy w polu przy minimalnych stratach własnych. Poważną różnicą dzielącą go od przywołanych tu mistrzów partyzantki jest odrzucenie przezeń ideologii

i włączenie w system islamskiego prawa nowoczesnie pojmowanych praw człowieka. Kluczem w doborze przez Massouda współpracowników była nie opcja polityczna, nie narodowość, a akceptacja podstawowych wartości humanistycznych. W szeregach jego oddziałów ramię w ramię stawali Tadżykowie, Pusztuni, Turkmeni i Uzbeki; sunnici i szyici (choć tych ostatnich w Afganistanie jest mało).

Przez wszystkie lata sowieckiej okupacji Ahmed Massoud był najbardziej nienawidzonym przez Sowietów, uznawanym za najgroźniejszego, najbardziej ściganym spośród dowódców mudżahedinów. Na jego głowę wyznaczano coraz większe nagrody. Bezskutecznie. Miejsce pobytu Komendanta – zmieniane zresztą co kilka dni – znali tylko nieliczni członkowie jego ochrony i najważniejsi dowódcy. Jego zaś "niezniszczalność" jeszcze bardziej wzmacniała otaczającą go legendę.

Rosnąca popularność Massouda, wzrastające szeregi jego wojsk budziły z czasem zaniepokojenie u jego politycznych konkurentów w samym Afganistanie. Dochodziło do sporadycznych potyczek między rozmaitymi ugrupowaniami, ale do najtragiczniejszego wydarzenia doszło w roku 1988, kiedy podkomendni Gulbuddina Hekmatia wciągnęli w zasadzkę i zamordowali 30 dowódców podległych Massoudowi. Nic dziwnego, że właśnie oddziały Hekmatia prowadzą dziś walkę – zbrojną i polityczną – z nowym, tymczasowym rządem Afganistanu, w którym kluczową funkcję pełni Massoud.

Warto wspomnieć o polskich kontaktach dowódcy z Pandższiru. To właśnie w jego oddziałach walczyli nieliczni polscy mudżahedini, m.in. poległy w walce (lipiec 1985) Leszek Zondek i Jacek Winkler. Ten ostatni, gdy go po latach spytałem o Massouda, opowiadał o nim z największym szacunkiem. Islamscy bojownicy afgańscy akcepto-

wali u swych polskich kolegów odmienność religii, a nad grobem Zondka widnieją wyryty w skałę ręką Winklera krzyż. Sam "Lew Pandższiru" interesował się wydarzeniami w Polsce, a ruch "Solidarności" uważał za sojusznika swej walki.

Przed wolnym już Afganistanem staje obecnie szereg niezwykle trudnych zadań: odbudowa kraju, odtworzenie normalnego rynku, zwalczanie tendencji odśrodkowych (np. obozu Hekmatia), walka z naturalną dla wieloletniej wojny demoralizacją, włączenie się w system międzynarodowej współpracy itp. Tym co pozwala na nieco optymizmu w spojrzeniu na przyszłość tego leżącego na uboczu kraju jest obecność w jego władzach Ahmeda Szaha Massouda i jego ludzi.

Romuald LAZAROWICZ

Who Is Who amerykańskiego konserwatyzmu

Niedawno ukazała się na amerykańskim rynku wydawniczym interesująca książka J. Davida Hoevelera, "Watch on the Right. Conservative Intellectuals in the Reagan Era" poświęcona czołowym konserwatywnym intelektualistom, których idee i poglądy spowodowały w 70-ch i 80-ch latach w Ameryce przejście od ideologii liberalnej do konserwatywnej. Ruch konserwatywny mimo, że stale obecny w polityce i kulturze amerykańskiej przybrał na sile po drugiej wojnie światowej, ale prawdziwy rozkwit tej myśli, przyrównany często do rewolucji, nastąpił w ciągu ostatnich 20 lat. Swoistym owocem tych przeobrażeń była osoba Ronalda Reagana i lata jego prezydentury.

Autor książki jest przekonany, że termin „Epoka Reagana” posiada swoje uzasadnienie, stanowi wyraźnie wyodrębniony okres w powojennej historii Stanów Zjednoczonych i może być zdefiniowany przez odwołanie się do idei neokonserwatyzmu wypracowanych przez zaprezentowanych w książce intelektualistów. Główni „aktorzy” tego okresu to William Buckley Jr., George Will, Irving Kristol, Hilton Kramer, Jeane Kirkpatrick, Robert Nisbet, Emmet Tyrrell i Michael Novak. Osób tych nie trzeba szczególnie przedstawiać. Wszyscy znani są bądź jako autorzy licznych publikacji książkowych i esejów, czołowi komentatorzy wielu stacji telewizyjnych, politycy, czy wreszcie, pracownicy uniwersytetów i fundacji. Te ostatnie, zwane często „think tanks” są terenem, gdzie prowadzi się nie tylko badania teoretyczne. Stanowią one również instytucje spełniające konkretne, praktyczne cele: rząd i inne agencje kształtujące politykę społeczną zwracają się tutaj często po ekspertyzy, opinie, sugestie. I to jest chyba jedna z ważniejszych ról jaką pełnią konserwatyści intelektualni: służenie społeczeństwu, a jednocześnie podkreślenie ciągłości kultury, trwałości instytucji społecznych, ich więzów z tradycją i zakorzenienia w historii.

Nielatwo jest zdefiniować konserwatyzm ze względu, między innymi, na trudności metodologiczne, złożoność podejmowanej problematyki i różnicowanie tego ruchu.

Wszyscy omawiani w książce intelektualisci różnią się w swoich poglądach i reprezentują różnorodne odmiany tego ruchu, od tradycyjnego począwszy, poprzez neokonserwatyzm, aż do konserwatyzmu zabarwionego liberalizmem. Ogólnie mówiąc, dla całego tego nurtu charakterystyczne jest występowanie w obronie wolnego rynku, podkreślenie znaczenia tradycyjnych instytucji, uznanie ważności religii, zakorzenienie w historii, i przekonanie o ciągłości rozwoju...

Do największych natomiast zagrożeń i przeciwników konserwatyzmu zaliczyć można instytucje nadopiekuńczego państwa, zmierzającego do rozwiązania wszelkich konfliktów społecznych, dążenia populistyczne i towarzyszącą im demagogię, wiarę, że zmiany społeczne dokonują się w formie rewolucji, totalitary i autokratyczny system rządów, przekonanie, że można dekretować instytucje społeczne i ekonomiczne by osiągnąć pełną harmonię i szczęście. Konserwatyści nie wierzą w te radykalne i utopijne koncepcje, aczkolwiek nie przekreślają możliwości reform społecznych. Przekonani są natomiast o pierwotnym i fundamentalnym charakterze naturalnych procesów, które stanowią swoisty mechanizm eliminujący te instytucje, które nie sprawdzają się w praktyce.

Konserwatyści traktują społeczeństwo i kulturę jako całość podobną do organizmu biologicznego, wyposażonego w samoregulujące się mechanizmy.

Mimo, że książka zawiera w tytule aluzję do dekady Reagana, posiada szerszy wymiar czasowy. Autor pisze o Edmundzie Burke, tradycyjnie uznanym za twórcę konserwatyzmu, ale także o amerykańskiej konstrukcji i o rozwoju młodej republiki. Rozwój ruchu i idei konserwatywnych pokazany jest jako dynamiczny proces, zachodzący w zderzeniu z innymi współczesnymi ideami myśli społeczno-politycznej. Znaleźć tu można również wiele uwag dotyczących sporów i polemik prowadzonych przez konserwatystów z odzywającymi się wciąż, zwłaszcza w ostatnich latach, lewackimi trendami wyrażającymi się w feminizmie, a

szczególnie w jego radykalnej postaci, idei wieloetniczności (**cultural diversity**), zasadzie **affirmative action** preferującej określone grupy społeczne ze względu na odmienność koloru skóry, ruchu praw obywatelskich. Neokonserwatyzm ostatnich 20 lat wyrósł jako reakcja na radykalizowane lata 60-te, które charakteryzowały się występowaniem idei i działań zmierzających do zniszczenia istniejących demokratycznych instytucji i tradycyjnych wartości. Na szczęście, dostrzeżono jednak niebezpieczeństwo tej destruktywnej ideologii.

Książka Hoevelera skonstruowana jest w ten sposób, że każdy z rozdziałów poświęcony jest jednemu z przedstawicieli współczesnej myśli konserwatywnej. I mimo, że autor zastrzega się skromnie, że nie należy tych szkiców traktować jako wyczerpujących esejów biograficznych, stanowi one jednak kompendium wiedzy i faktów o twórcach historii tego ruchu. W sumie jest to kolejna, ważna praca, warta przeczytania nie tylko przez tych, którzy interesują się współczesną amerykańską myślą społeczno-polityczną. Idee neokonserwatywne nie są w Polsce znane szerszej publiczności. Obiegowa opinia utożsamia je z obroną wolnego rynku, twardą postawą wobec komunizmu i osobą prezydenta Reagana. Warto pamiętać o tym, że myśl ta podejmuje również ważne zagadnienia etyczno-moralne. Wskazuje także na niebezpieczeństwa i zagrożenia jakie czyhają na kapitalizm i wolne, demokratyczne społeczeństwo. Ale, co ważniejsze, konserwatyzm podkreśla również ciągłość procesu historycznego i absolutny charakter wartości.

Marek SOJKA

J. David Hoeveler, Jr.: WATCH ON THE RIGHT. CONSERVATIVE INTELLECTUALS IN THE REAGAN ERA. The University of Wisconsin Press, Madison 1991. 333 strony, indeks.

/przedruk za: Horyzonty nr 12/92/

Rozmowa z oficjalnym przedstawicielem Ukrainy w Polsce, Teodozjem Starakiem — cd

Teraz jest już trochę lepiej: od niedawna jest trzech dyplomatów, otwarto konsulat. Właściwie pracuje na razie konsul. Też mu nie zazdroszczę: w pojedynkę musi sprostać pracy jaką normalnie powinien wykonywać cały konsulat, w którym pracuje do 20 osób. Właściwie i ja pracuję w podobny sposób. Nie łatwa to misja, lecz taka jest teraz sytuacja Ukrainy, że musimy w tych warunkach pracować.

— Jakie działania podejmuje Ukraina, aby zadeklarowana niezależność stała się rzeczywistością?

— Powiem tak: rząd Ukrainy, prezydent (szczególnie chcę podkreślić jego rolę), Rada Najwyższa (w dużej mierze już demokratyczna) dokładają wielu starań dla wzmocnienia niezależności Ukrainy. Istnieją pewne siły, i wewnętrzne, i zewnętrzne, które starają się w tym przeszkodzić, ale nieugięta postawa naszego prezydenta Krawczuka i demokratycznie wybranych przedstawicieli Rady Najwyższej napędzają nas nadzieją, wiarą w powodzenie. Nie ma powrotu do przeszłości, a jedyną drogą jest umacnianie niepodległości.

Przy okazji chcę powiedzieć kilka słów o prezydencie i to nie tylko dlatego, że jest on prawowitym prezydentem, wybranym przez większość społeczeństwa, co jest doniosłym faktem samo w sobie. Osobiście nie pochwalam wystąpień przeciwko Leonidowi Krawczukowi. Może się on komuś podobać lub nie, ale jest prawowitym, demokratycznie wybranym (absolutną większością głosów) prezydentem Ukrainy. Takie są fakty, a w każdym cywilizowanym kraju prezydent powinien być darzony szacunkiem. Można go delikatnie krytykować, sprzeciwiać się, ale nie obrażać. To po pierwsze. Po drugie: chcę powiedzieć, że do niedawna nie byłem zwolennikiem Leonida Krawczuka. Wprawdzie przeszedłem na jego stronę jeszcze przed prezydenckimi wyborami, ale przyznaję się szczerze, nie głosowałem na niego. Jednak już wtedy rozumiałem, że jest on człowiekiem bardzo potrzebnym dla Ukrainy. Krawczuk imponuje mi i wielu innym swoją żelazną konsekwencją (stąd i jego duży autorytet na świecie). Nigdy nie zmieniam swojego zdania, nie wypiera się swoich słów i jeśli coś powiedział od czasu przyjęcia "Deklaracji o niezależności" to i realizuje to. Do tej pory konsekwentnie podtrzymuje swoje słowa: "Możemy podpisać wszystkie umowy, ale nie podpiszemy niczego, co chociaż w niewielkim stopniu ograniczyłoby naszą niepodległość". Możliwe, że popełnia błędy — wszyscy je popełniamy — ale, o czym jestem przekonany, nie zaprzestanie on budowy niepodległego państwa ukraińskiego. Czy będzie się ono wszystkim podobalo — na pewno nie, ale to już inna sprawa. Nie zapominajmy, że każdy człowiek patrzy na te problemy po swojemu, w inny sposób. Osobiście zawsze stałem i stoję na tej samej pozycji: w warunkach w jakich żyjemy i jakie były wcześniej, wszystkie siły działające na korzyść naszej niepodległości powinny się jednoczyć; dla nas nadrzędną zasadą powinna być niepodległość i państwowość.

Przy okazji — nie wiem czy Państwa to zainteresuje — coś opowiem. Swego czasu, kiedy byłem młody, też miałem już swoje poglądy. Trafił mi się taki wypadek w obozie. Nie zważając na straszliwe warunki, zawsze zbieraliśmy się, żeby porozmawiać. Był tam pewien nasz chłopak. Teraz już nie żyje. Prosty, wiejski chłopiec, ale bardzo mądry. Rozmawialiśmy o tym, jakie powinno być ukraińskie państwo. Różnie tam mówili. W końcu on powiedział: O czym wy mówicie? Przecież to obojętnie jakie, najważniejsze żeby było. I ja będę każdego bronił i o każde walczył. Wtedy pokłóciłem się z nim. Mówiłem: jest radziecka Ukraina. On na to odpowiedział: To nie jest Ukraina — tylko o niepodległe państwo będę walczył, a jaki będzie system społeczny, jakie siły polityczne będą nim kierowały — jest mi obojętne. Potem, dużo później, zrozumiałem jak głęboką rację miał ten chłopiec. W tych momentach, kiedy tworzy się państwo, powinno ono być ponad wszystkim. Tak uważam do dzisiaj. Nie należę do żadnego ugrupowania politycznego — nie dlatego, że jestem przeciwnikiem partii, one powinny istnieć, ale dla mnie najważniejsze jest państwo. Może właśnie dlatego zgodziłem się na służbę dyplomatyczną. Wiedziałem, że będę bronił państwa ukraińskiego i to niezależnie od tego, jaki w nim będzie ustrój, jaka partia lub grupa będzie przy władzy. Będę bronił niezależnego państwa ukraińskiego! Ktoś mógłby powiedzieć: może i bolszewickiego?... Sprawa w tym,



że bolszewicy nie znają pojęcia niepodległości państwowej, czyli to nie wchodzi w rachubę.

— Jako przedstawiciel rządu Ukrainy w Polsce, jakie widzi Pan perspektywy polsko-ukraińskich stosunków oraz jakie zagrożenia?

— Zagrożenia? Nie widzę. Sytuacja jest dość złożona. Początkowo, kiedy przyjechałem, zdawała się bardzo dobra — przynajmniej na taką wyglądała. Rzecz w tym, że nikt nie może dokładnie określić sytuacji politycznej w Polsce. Wiemy, że jest ona niestabilna. Mimo wszystko uważam, że stosunki polsko-ukraińskie będą rozwijać się pomyślnie.

Mogę powiedzieć, że stykam się z różnymi osobistościami politycznymi, przedstawicielami różnych kierunków. Z tych sił politycznych, które się liczą, nie ma żadnej, która byłaby przeciwko rozwojowi stosunków polsko-ukraińskich. W jaki sposób mają być zrealizowane — poglądy są różne, ale jestem przekonany, że dobrosąsiedzkie, normalne stosunki są potrzebne i korzystne dla obu naszych państw. Mamy jednakowe, wspólne problemy i z wzajemną pomocą możemy je rozwiązać. Tylko tak, wspólnymi siłami.

Jakakolwiek konfrontacja między nami byłaby bezsensowna, byłaby samobójstwem dla obu naszych narodów i państw. Wiele już popełniliśmy takich błędów w przeszłości, lecz widzę, że i z naszej i z polskiej strony przyszło otrzeźwienie w tej kwestii. Wszyscy dążymy do tego, aby stosunki te ułożyć normalnie. Wiele jest problemów, wiele kwestii do rozstrzygnięcia. Są sprawy poważne, drobne, druzgoczące — ale nie ma żadnej takiej, której rozwiązać by się nie dało.

Najważniejsze jest to, iż między naszymi państwami nie ma rozszczeń terytorialnych. To jest bardzo ważne. Gdy są takiego typu problemy jest źle — między nami ich nie ma! Niegdyś pewien polski działacz polityczny powiedział mi w ten sposób: "aż gorzko mówić — wysiedlenia naszych narodów były straszną tragedią, lecz teraz obróciło się to na korzyść". Ta korzyść jest ciężko oplaconą, ale dzięki temu, że jesteśmy naprawdę rozdzieleni, nie istnieje problem zmiany granic. Gdy nie ma problemów terytorialnych, wszystkie inne można swobodnie rozwiązać...

— Jak Pan ocenia położenie ukraińskiej mniejszości narodowej w Polsce obecnie?

— Jak by to określić... Wiem wiele o pewnych narzekaniach. Odnosnie sytuacji mniejszości ukraińskiej w Polsce, powiedziałbym w ten sposób. Pewne problemy istnieją, gdy chodzi o rozwiązanie ich na szczeblu państwowym. Są one jednak mniej ważne. Właściwie bowiem problem mniejszości ukraińskiej w Polsce to nie kwestia dobrej czy złej woli władz Polski, lecz społeczeństwa... To jest istota problemu. Bowiem jakiejś specjalnie złej woli względem mniejszości ukraińskiej w kołach rządowych nie dostrzegam. Natomiast, że sytuacja jest ciężka, nie ma państwowych dotacji... Cóż, my też nie dajemy Polakom żadnych dotacji. Jest to wynik złosnej sytuacji w samej Polsce. Oprócz tego nasza mniejszość w Polsce nie jest tak bogata jak w Kanadzie, czy w Australii, gdzie Ukraińcy dają sobie radę sami. Tutaj jest inaczej. Jeżeli są jakieś niesprawiedliwości itp., płyną one nie ze sfer rządowych, lecz przede wszystkim od pewnych organizacji społecznych i po prostu od społeczeństwa. Nie można zapominać, że społeczeństwo polskie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wychowane było w zapiekłej nienawiści do Ukraińców i do Ukrainy. I tego balastu trudno będzie się pozbyć. Sytuacja jednak powinna wg mnie poprawiać się wraz z rozwojem stosunków między państwami. Trzeba pamiętać, że gdy większość społeczeństwa polskiego jasno sobie uświadomi, iż na wschodzie jest ukraińskie państwo, silne i niezależne, to zmieniać się będzie i stosunek do mniejszości ukraińskiej. Będą oczywiście istnieć jakieś grupy szowinistyczne, ale ich nie trzeba brać pod uwagę — one będą zawsze.

— Dochodzą tu jeszcze stosunki gospodarcze...

- Tak, będą one miały duże znaczenie w zbliżeniu narodów. Zażartowałem kiedyś podczas pewnego spotkania ze znanymi działaczami politycznymi, że ci ludzie, którzy jeździli z torbami, najpierw Polacy do nas, teraz nasi tu, zrobili więcej dla zbliżenia, niż wszyscy politycy.

W ubiegłym roku, gdy przyjechałem do Jarosławia, byłem zaskoczony, iż wszędzie słyszę język ukraiński. Ludzie chodzą po mieście, rozmawiają po ukraińsku i nikt na to nie zwraca uwagi. Po prostu przyzwyczajono się do tego. Podobnie przecież było i w Ukrainie. Gdy pierwsi Polacy zaczęli przyjeżdżać do nas, stosunek do nich był dalece nieprzychylny. A później przyzwyczajono się. Oczywiście jest to anegdota, ale stosunki ekonomiczne odegrają znaczącą rolę.

Przy okazji chcę powiedzieć, że koła gospodarcze w Polsce są bardzo zainteresowane współpracą z Ukrainą. Tak powinno być!

Niestety nie zawsze dostrzegają to działacze polityczni, którzy kierują się innymi kryteriami. Dlaczego mówię, że właśnie tak powinno być? Mimo wszystko słaba jeszcze polska gospodarka, słaby polski rynek nie może konkurować z rynkiem zachodnioeuropejskim.

*Jeśli Wałęsa pozostanie u władzy,
to zepchnie nas ponownie w łapy
komunistów.*

Obrońcy Parysa

Rozmowa z PIOTREM JAWORSKIM - członkiem Ogólnopolskiego Komitetu Koordynacyjnego Komitetów Obrony Parysa (przekształconego 7 czerwca w Ruch III Rzeczypospolitej), działaczem Solidarności Walczącej, przewodniczącym Zarządu Oddziału Regionalnego Partii Wolności w Łodzi.

- Jak to się stało, że powstał w Łodzi pierwszy w kraju Społeczny Komitet Poparcia dla Jana Parysa, który później przekształcił się w Ogólnopolski Komitet Obrony ministra Parysa? I kto wchodził w jego skład?

- To było w niedzielę, 12 kwietnia. W gronie kilku osób rozmawialiśmy o sytuacji powstałej w MON w związku z wypowiedzią ministra Jana Parysa. Doszliśmy do wniosku, że byłoby dobrze poprzeć jego poczynania. Wiadomość o tym ukazała się na łamach „Nowego Świata”, ale gazeta nie miała wpływu na naszą inicjatywę. Dowiedzieliśmy się później, że w Warszawie również są ludzie, którzy popierają Parysa i postanowiliśmy się przekształcić w Ogólnopolski Komitet Obrony Jana Parysa. Zgłosiło się do nas przeszło 100 osób, ale o wiele więcej udzieliło nam poparcia. Tylko w Łodzi 800 osób podpisało nasze oświadczenie.

- Na spotkaniu w Warszawie było 130 osób.

- Tak. To byli najbardziej aktywni ludzie. Nie wszyscy, którzy zgłosili akces do KOP działali z jednakową aktywnością.

- Skąd brała się wówczas wasza pewność, że to Jan Parys ma rację?

- Nie interesowały nas racje a dokonania. Jego poczynania w MON budziły nasze zaufanie i stąd nasze poparcie.

- A skąd brała się wasza wiedza o tym, co dzieje się w wojsku?

- W naszych kręgach politycznych zainteresowanie wojskiem jest naturalne. Jednym z kandydatów Partii Wolności na posła do Sejmu RP był major, od którego wiele się dowiedzieliśmy. Mamy kontakt z organizacją „Viritim”. Naszym zdaniem od 1989 roku do przejścia ministra Parysa w MON nic się nie działo. Wojsko nie poddawało się reformom, a zmiany były powierzchowne. To dopiero Jan Parys zapoczątkował proces odsowietyzowania wojska. A na to czekaliśmy.

- Minister Jan Parys został zdymisjonowany. Komitety Obrony Parysa przekształciły się w Komitety Obrony Państwa. Przed czym, przed kim bronić państwa?

- Przed rekomunizacją, jak to słusznie zauważył Jarosław Kaczyński, Polsce grozi powrót dawnych, starych struktur komunistycznych, ale już na nowych zasadach. Grozi to przejściem władzy przez komunistów. To nie jedyny powód. Jest to też kwestia punktu widzenia, kwestia wyboru: czy wybieramy kierunek rozwoju Polski w stronę niepodległości, Polski która funkcjonowałaby w normalnym europejskim układzie, czy też Polski mniej lub bardziej zwasalizowanej z Rosją? Opowiadamy się za Polską niepodległą.

Czy ruch KOP może przekształcić się w partię?

Wiedzą o tym polscy biznesmeni. Entuzjazm i euforia, która panuje wokół możliwości wejścia Polski do EWG, chociaż jest to sprawa Polski - wg mnie nie jest takim wielkim szczęściem, nie powinno wzbudzać takiej radości. Powiedziałem nawet jednemu z ministrów podczas rozmowy, że wszyscy znajdujemy się w tym samym postkomunistycznym dołku. My niżej, Polska trochę wyżej, ale nam trzeba z tego dołka wychodzić wspólnie! Wspólnie wychodzić i wspólnie sobie pomagać, a nie czekać, aż „bogaty wujek” poda nam rękę i wyciągnie...

- ...bo tego wujka po prostu nie ma...

-...bo ten wujek, nawet jeżeli wyciągnie, to tylko we własnym interesie.

- Dziękujemy za rozmowę.

Wrocław, 2 maja 1992 r.

Wywiad dla „Solidarności Walczącej” i wrocławskiego pisma „Dialog” przeprowadzili: mmh & js.

Tłumaczenie: ik, ak, js. (Wywiad nieautoryzowany)

- Teraz jest to ciało ponadpartyjne, w którym współdziałają ludzie z różnych partii o antykomunistycznym i narodowym rodowodzie, a także demokratycznym. Jest to ruch i takim powinien pozostać. Chociaż wykluczyć powstania partii nie można.

- Nie boicie się, że mogą was przeciwnicy posądzić o organizowanie ruchu o charakterze paramilitarnym?

- Nie ma i nie było mowy o powoływaniu żadnych oddziałów. O coś takiego posadza nas obóz belwiderski. Ale nie ma to żadnego uzasadnienia.

Jest to ruch typowo cywilny.

- Ruchowi temu zarzuca się, że jest pozakonstytucyjny, że działa poza prawem.

- Jest to zarzut irracjonalny. Każdy ma prawo do organizowania się. Jest to naturalne prawo, gwarantowane Kartą Praw Obywatela i Człowieka, Konstytucją. Nasz ruch mieści się w ramach Konstytucji RP. Natomiast Biuro Bezpieczeństwa Narodowego jest niewątpliwie tworem pozakonstytucyjnym i warto byłoby się nad tym właśnie zastanowić. Tym bardziej, że jego działalność dotyczy wojska i bezpieczeństwa państwa. Poza tym Komitety Obywatelskie powstały też jako organizacje pozaprawne, działały i nic się nie stało. Nikt im tego nie miał za złe.

- Czy myślicie może o rejestracji?

- Do tej pory nie było o tym mowy. Sytuacja jest płynna, ciągle się zmienia. Prawdopodobnie zadecyduje się o tym na ogólnopolskim spotkaniu, jakie ma odbyć się 7 czerwca.

- Przewodniczący Komitetu Koordynacyjnego Komitetów Obrony Parysa, Tadeusz Stański, w wywiadzie dla „Nowego Świata” powiedział wyraźnie: - „Nam się podoba Jan Parys jako minister obrony narodowej, natomiast nie podoba się Lech Wałęsa jako Prezydent Rzeczypospolitej”. Czy to znaczy, że zmierzacie do zmiany osoby Prezydenta RP?

- Wolałbym odpowiadać za siebie. Otóż według mojego zdania, Lech Wałęsa nie dorósł do roli prezydenta. Obóz prezydencki anarchizuje życie państwa. Gdyby Lech Wałęsa nie sięgał po większą władzę, a przecież sięga, to...albo powiem po prostu: - powinien odejść, skompromitował Polskę podczas swoich wyjazdów zagranicznych. I to jest sygnał, że powinien odejść.

- Jak pan sobie to wyobraża? Przecież Lech Wałęsa został wybrany w wyborach powszechnych.

- Rozumiem to tak. Lech Wałęsa podpisał z tą częścią społeczeństwa, która go wybrała, umowę. Obiecał jej pewien program, którego nie zrealizował. Umowa stała się fikcją i nie ma sensu jej podtrzymywać.

- Jakie jest zatem wyjście?

- Podać się do dymisji. Zrezygnować.

- Sądzi Pan, że to zrobi?

- Pod odpowiednim naciskiem ze strony społeczeństwa powinien zrobić. Nadszedł bowiem czas, aby jednoznacznie i zdecydowanie ocenić działalność Lecha Wałęsy i rozliczyć go z tego, co zrobił i czego nie zrobił. Po wizycie we Francji Lech Wałęsa opowiedział się za francuskim modelem władzy. Wynika z tego, że dąży do objęcia pełni władzy niczym car. Trzeba zatem powiedzieć: dość! W naszym przekonaniu ponosi on winę i odpowiedzialność za katastrofę ostatnich trzech lat, za zmarnowane nadzieje i zapał milionów Polaków. Jeśli pozostanie u władzy, to zepchnie nas ponownie w łapy komunistów i przysporzy Polsce nowych nieszczęść.

Gdyby nie ustąpił, a uchwalono by Małą Konstytucję, albo później Konstytucję RP i gdyby zakładały one umocnienie władzy prezydenckiej, to - w moim przekonaniu - Lech Wałęsa powinien poddać się nowym wyborom. To byłoby też jakieś rozwiązanie.

- Jaki według pana i ruchu, który pan reprezentuje powinien być porządek w Polsce? Opowiadacie się za demokracją parlamentarną, czy też za czymś innym?

- Dla sprawnego kierowania państwem najlepszy byłby system prezydencko-parlamentarny na wzór francuski. Z tym, że nie widzimy w tym systemie Lecha Wałęsę jako prezydenta. A to dlatego, że dąży on do skoncentrowania całej władzy w swoich rękach i chciałby ręcznie sterować parlamentem, telewizją, gospodarką i innymi dziedzinami życia.

- Głoszone przez was hasła mogą przyciągnąć ludzi z różnych ugrupowań politycznych. Czy nie obawia się pan, że kontrola nad ruchem może się wymknąć i ruch się zanarchizuje, co zagrażałoby trwałości państwa?

- Wydaje mi się, że takiej groźby nie ma, Ruch ma swoją strukturę, władzę, które panują nad sytuacją. Zmierzamy do umocnienia państwa, a nie do jego osłabienia. Byłoby to zaprzeczeniem istoty naszego ruchu. Zmierzamy do powstrzymania rozkładu państwa.

- Czy liderem ruchu może stać się Jan Parys?

- Obrona jego osoby zrodziła się bez jego udziału i wiedzy. Kiedy się dowiedział, był zadowolony. Jest bezpartyjny. Żadna siła polityczna za nim nie stała i oto okazało się, że ma obrońców. Gdyby

teraz stanął na czele ruchu, to byłoby dobre. Ale czy tak się stanie? Trudno powiedzieć.

- Komitety Obywatelskie przygotowały wybory, wygrały je i dały kadre administracji państwowej. Czy zakłada pan, że was to też może czekać? Proście, czy myślicie o władzy?

- Władzę przejęły te kręgi polityczne, które dogadały się z komunistami w Magdalence i przy Okrągłym Stole. I te ustalenia nadal obowiązują. Lech Wałęsa oraz Tadeusz Mazowiecki - jeden z kandydatów na premiera - stoją na straży tego układu. Jeśli nic się nie zmieni, jeśli nie będzie innej drogi, to podejmiemy walkę o takie poparcie społeczne, które da nam udział w Sejmie, abyśmy mieli wpływ na to, co się w Polsce dzieje. Uważamy bowiem, że Polska nadal nie ma niepodległości, a demokracja jest u nas bardzo wątpliwa. W takiej sytuacji jedyną metodą osiągnięcia naszych celów będzie przejęcie władzy.

- Powiedział on, że Polska nie ma niepodległości. Kto Polskę zagraża?

- Ujmując to krótko: ministra finansów wyznacza nam Zachód, a ministra obrony narodowej - Wschód. Występujemy przeciw tym zagrożeniom. Stopień uzależnienia Polski od Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego jest widoczny w skutkach, jakie poniosła i ponosi nasza gospodarka. Czy trzeba więcej?

rozmawiała Bogda Madej

/wywiad ukazał się w 22 n-rze łódzkiego piśma „Odgłosy”/



KOMITET ODRODZENIA DEMOKRACJI W POLSCE
„SOLIDARNOŚĆ - NIEPODLEGŁOŚĆ”
HORGEN

Telewizja Polska
Pan red. Marek Malski
„WYDARZENIA TYGODNIA”

Szanowny Panie Redaktorze!

W programie TVP „Wydarzenia Tygodnia” z dn. 13.04.92 r. usłyszeliśmy następującą wypowiedź red. Dariusza Szymczychy („Trybuna”) o obecnym ministrze Jerzym Milewskim: „Jest on wielce zasłużonym działaczem emigracyjnym „Solidarności”.

Muszę rozczarować red. Szymczychę, że nie podzielał jego opinii. Wprost przeciwnie, uważam styl kierowania Biurem w Brukseli i osobę J. Milewskiego za wielce kontrowersyjną.

Dla zrozumienia mojego stanowiska niech będzie mi wolno przedstawić się. Niżej podpisany był członkiem 13-osobowej oficjalnej ogólnopolskiej delegacji NSZZ „Solidarność”, która od dnia 29.11.81 r. przebywała w Szwajcarii na dwutygodniowym zaproszeniu tułtejszych central związkowych. Wprowadzenie stanu wojennego 13-go grudnia 1981 r. uniemożliwiło zaplanowany na ten dzień powrót delegacji do Polski. Członkowie jej natychmiast podjęli na terenie Szwajcarii i Europy Zachodniej akcje związkowe i polityczne mające na celu zmobilizowanie zachodniej opinii publicznej. W dniach 17-19 grudnia 1981 zostało zorganizowane w Zurychu pierwsze spotkanie koordynacyjne członków „Solidarności” przebywających na Zachodzie oraz przedstawicieli międzynarodowych central związków zawodowych. Natychmiast przystąpiliśmy do publikowania list aresztowanych i internowanych, nawiązaliśmy kontakty z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem w Genewie i z Amnesty International oraz rozpoczęliśmy organizowanie pomocy dla represjonowanych kolegów w kraju.

J. Milewski przebywał wówczas na stypendium naukowym w USA, skąd dopiero po jego zakończeniu wiosną 1982 r., na zaproszenie Krystyny Ruchniewicz (Komisja Rewizyjna KK), kierującej brukselskim Biurem Informacyjnym „Solidarności” przyjechał do pomocy w organizowaniu akcji z terenu Belgii. Kilkakrotnie spotkałem się z nim w Lozannie, gdzie mieszkała część naszej delegacji.

W dniach 17-18 lipca 1982 r. byłem uczestnikiem zebrania w Oslo, które zostało zorganizowane przez Komitet „Solidaritet Norge-Polen” (Andrzej Jachowicz i Ketil Heyerdahl). 28 przedstawicieli „Solidarności” z Anglii, Belgii, Francji, Holandii, Niemiec, Kanady, Szwajcarii, Szwecji, USA i Włoch powołało wówczas, na wniosek konspiracyjnych władz krajowych związku, Biuro Koordynacyjne „Solidarności” z siedzibą w Brukseli. Uczestnicy zebrania ostatecznie zgodzili się na przekazanie J. Milewskiemu kierownictwa Biura, mimo, że prawie każdy miał przeciwko niemu zastrzeżenia. Przedstawiciele „Solidarności” za granicą zostali postawieni w sytuacji przymusowej, gdyż jeszcze przed tym spotkaniem, J. Milewski przekazał obu centralom Międzynarodowych Związków Zawodowych swoje pełnomocnictwo z kraju. Zapomniał jednak im dodać, że było to pełnomocnictwo warunkowe. Bogdan Lis, któremu Milewski wcześniej zaproponował swoją osobę na objęcie kierownictwa, pisał w liście „o ile zdobędziesz zaufanie pozostałych grup”. Takim zaufaniem nie obdarzono Milewskiego w Oslo.

Nie chcieliśmy jednak wobec międzynarodowych central związkowych podważać zaufania do działaczy „Solidarności”. Chcieliśmy, aby ich uwaga i pomoc koncentrowały się na „S” w kraju, a nie były osłabiane przez zastrzeżenia personalne do działaczy na Zachodzie.

Dlatego też, mimo oficjalnie zgłoszonego w Oslo votum nieufności do osoby J. Milewskiego, podtrzymano uzurpatorsko wymuszoną przez niego akceptację na kierownika Biura Koordynacyjnego „S” Za Granicą, lecz równocześnie powołano Radę Koordynacyjną Biura, która miała czuwać nad działalnością przedstawicielstwa w Brukseli.

M. inn. zostałem powołany na członka tej Rady.

Dalsze działania J. Milewskiego potwierdziły nasze obawy. Zamiast koordynacji, nastąpiła blokada i rozbijanie naszej współpracy:

— uniemożliwił zwołanie spotkania Rady, które miało się odbyć zgodnie z planem jesienią 1982 r. we Francji;

— usiłował przejąć wszelką pomoc finansową udzielaną zorganizowanym grupom „Solidarności” przez lokalne związki zawodowe w poszczególnych krajach Europy Zachodniej. W ten sposób np. odebrano etat tłumacza (fundowany przez DGB) członkom delegacji Stoczniovców przebywających w Bremie, co automatycznie uniemożliwiło ich pracę informacyjną (list K. Kunikowskiego do paryskiej „Kultury”, nr 9/1983). Podobna próba np. na terenie Szwajcarii nie powiodła się, gdyż nasza delegacja była niezależna finansowo (poszliśmy prosto do pracy zawodowej) a związkowcy szwajcarscy nie poddali się sugestiom z Brukseli i nadal wspólnie z nami organizowali pomoc i patronaty nad rodzinami represjonowanych w Polsce.

J. Milewski nie wyróżniał się też tzw. „wyczuciem politycznym”:

— jak przedstawił nam Jerzy Mohl (Krajowa Komisja Rewizyjna „S”) w Oslo - Milewski przebywając jeszcze w USA włączył się wraz z innymi osobami do cennej inicjatywy utworzenia organizacji „Solidarity International”, lecz np. odmówił spotkania z... wysłannikiem

Reagana. Prezydent USA celowo zwolnił wysokiego pracownika Białego Domu, aby mógł służyć radą „Solidarności” nie będąc urzędnikiem rządowym; dla Milewskiego był to jednak tylko „ktoś wyrzuty”;

— uznał pomadryckie spotkanie KBWE za nieistotne. Członkowie naszej delegacji przebywali w dn. 8-14 lutego 1982 w Madrycie, gdzie dzięki poparciu delegacji USA i związkowców hiszpańskich doprowadzono do spotkania w centrum prasowym Konferencji (wywiady dla gazet, TV i radia) oraz z niektórymi dyplomatami. Chcieliśmy nawiązać kontakty przekazać Milewskiemu. W późniejszej rozmowie telefonicznej uznał on całą sprawę za mało interesującą;

— w kwietniu 1983 wypowiadał się w Zimbabwie przeciwko przyjmowaniu Polaków w Afryce Południowej (co wzburzyło zamieszkanych tam Polaków i rzeczywiście zamknęło drogę ludziom rozpaczliwie szukającym wyjazdu z przepełnionych obozów uchodźczych [list E. de Virion, paryska „Kultura” nr 6/1983]) oraz wyraził poparcie dla komunistycznego African National Congress.

W podsumowaniu, nie chcę tu dokonywać oceny, czy to osobiste cechy charakteru p. J. Milewskiego, czy też jego zamierzone działania wyeliminowały wiele grup pomocy dla „Solidarności” w kraju. Zbyt długo podtrzymywaliśmy fikcję o jednolitym kierownictwie „S” za granicami kraju!

Nie zgadzałem się nigdy ze stwierdzeniem, że tylko historia osądzi „dobrodrojeństwo” wprowadzenia stanu wojennego w Polsce w dniu

13 grudnia 1981 r. Ustawa sejmowa uznająca stan wojenny za bezprawny sprawiła mi satysfakcję. Również w przypadku p. Milewskiego mam nadzieję, że dopóki żyją świadkowie i uczestnicy spotkania w Oslo (17-18.07.82) oraz przedstawiciele międzynarodowych central związkowych (nb. Polacy) „legenda o jego świetlanej przeszłości emigracyjnej” zostanie rozwiana jak inne.

Dramatem dla III Rzeczypospolitej byłoby, gdyby jedną z głównych kwalifikacji p. Milewskiego na stanowisko ministra - szefa Biura Bezpieczeństwa Państwa była jego emigracyjna działalność.

Z poważaniem

dr med. Jerzy GRĘBSKI

P.S.

W załączeniu przesyłam listę uczestników zebrania „S” w Oslo oraz regulamin struktury działania NSZZ „S” Za Granicą.

Do wiadomości:

1. P. Wierzbicki - redaktor naczelny „Nowy Świat”
2. M. Iłowiecki - prezes SDP, redaktor naczelny „Spotkania”
3. A. Gelberg - redaktor „Tygodnik Solidarność”
4. J. Szaniawski - redaktor „Orientacja na prawo”
5. S. Nędzyński - ówczesny sekretarz generalny międzynarodowej sekcji PTT w Międzynarodowej Konferencji Związków Zawodowych
6. J. Kułakowski - ówczesny sekretarz generalny Światowej Organizacji Pracy.

AGENCI RZĄDZĄ POLSKĄ

Niekompletna lista parlamentarzystów oraz najwyższych urzędników państwowych, współpracowników UB i SB w latach 1945 - 1990, ujawniona posłom przez ministra spraw wewnętrznych Antoniego Macierewicza:

SEJM:

Piotr Fogler (UD, Warszawa), Jerzy Osiatyński (UD, Przemyśl - Krosno), Grażyna Staniszeńska (UD, Bielsko - Biała), Mariusz Wesołowski (UD, Olsztyn)

Marek Boral (SLD, Częstochowa), Zbigniew Janowski (SLD, Chelm), Jerzy Jaskiernia (SLD, Rzeszów), Aleksander Krawczuk (SLD, Kraków), Wit Majewski (SLD, Warszawa), Piotr Mochnaczewski (SLD, Szczecin), Jacek Piechota (SLD, Szczecin), Wojciech Saletra (SLD, Kielce), Ewa Spychalska (SLD, Bielsko - Biała), Bogumił Zych (SLD, Wałbrzych)

Aleksander Bentkowski (PSL, Rzeszów), Józef Cinal (PSL, Bielsko - Biała), Roman Jagieliński (PSL, Piotrków Tryb.), Janusz Maksymiuk (PSL, Wrocław), Ryszard Smolarek (PSL, Siedlce), Marian Starownik (PSL, Lublin), Bogumił Szreder (PSL, Gdańsk)

Leszek Moczulski (KPN, Kraków)

Michał Boni (KLD, Radom), Władysław Reichelt (KLD, Poznań), Herbert Szafraniec (KLD, Katowice)

Antoni Furtak (PL, Gdańsk), Bohdan Pilarski (PL, Kalisz), Tadeusz Szymańczak (PL, Płock - Skierniewice)

Tomasz Holc (PPG, Gdańsk), Jan Zylber (PPG, Warszawa)

Tadeusz Lasocki (ChD, Ostrołęka - Łomża - Ciechanów)

Andrzej Makowski - Gąsienica (PChD, Nowy Sącz)

Georg Brylka (Mniejszość Niemiecka, Częstochowa)

Włodzimierz Cimoszewicz (Niezrzeszony, Białystok), Jan Świtka (Niezrzeszony, Rzeszów),

SENAT:

Gerhard Bartodziej (Opole), Władysław Findeisen (Warszawa), Jan Jesionek (Katowice), Stanisław Kostka (Przemyśl), Andrzej Kralczyński (Bielsko - Biała), Mieczysław Włodyka (Ślupsk), Jan Zamojski (Zamość), Stanisław Żak (Kielce)

URM:

Min. Spraw Zagranicznych: Aleksander Krzyżniński, Jan Majewski, Krzysztof Skubiszewski

Min. Finansów: Wojciech Misiąg, Andrzej Olechowski, Andrzej Podsiadło

Min. Kultury: Michał Jagiełło, Andrzej Siciński

Min. Ochrony Środowiska: Jan Komornicki

Min. Łączności: Stanisław Szuder

Kancelaria Prezydenta:

Lech Falandysz, Janusz Ziółkowski

Biuro Bezpieczeństwa Narodowego: Jerzy Milewski

Ponadto Prezydent, Premier, Marszałkowie Sejmu i Senatu oraz Prezesi Sądu Najwyższego i Trybunału Konstytucyjnego otrzymali specjalną listę współpracowników UB i SB na której były dwa nazwiska:

1. Lech WAŁĘSA, Prezydent RP, współpracownik SB od 1970 roku (pseudonim: Bolek)
2. Wiesław CHRZANOWSKI, marszałek Sejmu, który podpisał deklarację współpracy z UB w 1945 roku.

Oświadczam, że zamieszczony tu spis współpracowników UB i SB otrzymałem od osób godnych społecznego zaufania.

Warszawa 09.06.1992

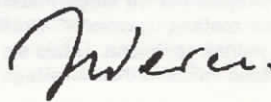
Kornel Morawiecki

Wypowiedź Prezydenta RP Lecha Wałęsy, Warszawa, 3 czerwca 1992 r.

Po przegranej strajku w Stoczni w grudniu 1970 roku przysięgam Bogu i sobie, że będę walczył aż do zwycięstwa nad komunizmem. Byłem przywódcą strajku, próbowałem różnych możliwości i różnych sposobów walki. Aresztowano mnie wiele razy. Za pierwszym razem, w grudniu 1970 roku, podpisałem 3 albo 4 dokumenty. Podpisałbym prawdopodobnie wtedy wszystko, oprócz zgody na zdradę Boga i Ojczyzny, by wyjść i móc walczyć. Nigdy mnie nie złamano i nigdy nie zdradziłem ideałów ani kolegów.

Przysięgę swoją wypełniłem i doprowadziłem do naszego zwycięstwa. Pragnieniem moim jest, by wszystkie materiały, wszystkie przesłuchania, w tym słynna rozmowa z bratem, zostały opublikowane. Jestem pewien, że one dopiero wykażą brawurową walkę i sposoby, które doprowadziły do zwycięstwa nad komunizmem.

Odkładałem to na późniejszy termin, gdyż w Ojczyźnie dzieje się wiele innych, ważniejszych i wymagających rozstrzygnięć spraw. Ale ponieważ ten temat poruszono właśnie teraz - proszę bardzo. Jestem przekonany, że księga mojego życia i dojścia do zwycięstwa mogłaby być w całym tego słowa znaczeniu pouczająca. Jedno trzeba by tu jeszcze dopisać: to, że nawet komuniści i SB nie szantażowali mnie sfabrykowanymi materiałami, które tu i ówdzie krąży, bo wiedzieli i wiedzą dokładnie, że to jest po prostu nieprawda. Idąc drogą współpracy nie doszedłbym do zwycięstwa - do pokonania SB i komuny.



Polska - agenci pracują także dla nowej władzy

Grupa, która zawarła z policją porozumienie „okrągłego stołu” i w jego konsekwencji przejęła władzę jesienią 1989 roku, była zdecydowanie przeciwna usuwaniu z życia politycznego i instytucji państwowych dawnych tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa oraz agentów KGB. Do tajnych archiwów MSW dopuszczono spośród opozycji zawierającej porozumienia tylko Adama Michnika i prof. Jerzego Holzera. Razem z prof. Andrzejem Ajnenkielew i Bogdanem Krollem weszli oni w skład komisji do przeglądania akt MSW, której utworzenie zaproponował ministrowi Henrykowi Samsonowiczowi K. Kozłowski 20 marca 1990 roku. Listy konfidentów musiały się jednak wydostać z archiwów, skoro 18 lipca 1991 roku w Lublinie Jarosław Kaczyński, ówczesny szef kancelarii prezydenta i prezes Porozumienia Centrum, oświadczył, że zna akta SB, gdyż „należy do tych nielicznych, którzy znają listy agentów”. 25 lipca Kaczyński wyjaśnił, że zna „konkrety” jeszcze z okresu „rozpadu struktur komunistycznych”, później dostał opracowanie od osoby godnej zaufania. 25 lipca 1991 roku w Sejmie Henryk Majewski, minister spraw wewnętrznych w rządzie Krzysztofa Bieleckiego, podkreślił, iż Jarosław Kaczyński nie ma uprawnienia do wglądu w akta byłej SB.

Dotychczas politycy solidarnościowi kilkakrotnie odstępowali od zasady ujawniania byłych agentów.

W wypadku Stanisława Tymińskiego, gdy władze zorientowały się, że jest on groźnym rywalem dla T. Mazowieckiego i Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich, minister spraw wewnętrznych Krzysztof Kozłowski straszyl publikacją bardzo kompromitujących materiałów, a następnie ogłosił, iż Tymiński przyjeżdżał do Polski przez Libię, co było jednoznaczne z oskarżeniem o współpracę z KGB oraz SB i tak to zinterpretowała cała prasa. Gdy Tymiński przegrał wybory, okazało się, że „komputer się pomylił” i Tymiński nie miał żadnych powiązań z Libią.

Jesienią 1990 roku Józef Szaniawski wręczył L. Wałęsie listę 19 oficerów byłej SB i WSW, współpracowników KGB. Reakcja solidarnościowych polityków była natychmiastowa. Minister obrony narodowej zwrócił się do prokuratury z prośbą o „ochronę nazwisk licznych oficerów, o których nie wiadomo z całą pewnością, czy pracowali lub czy pracują dla wywiadu sowieckiego”. Wiceprokurator generalny A. Herczeg przyznał, iż „nie ma wątpliwości, że agenci KGB pracowali i pracują w naszym kraju, ale najpierw trzeba wszystko udowodnić”. Redaktorzy pisma „Czas”, które opublikowało wykaz Szaniawskiego, zostali ukarani przez ministra Kozłowskiego zakazem wstępu do archiwów MSW otwartych dla innych dziennikarzy. Jednocześnie K. Kozłowski zagroził Szaniawskiemu, iż „wojsko ma na niego materiały, które wkrótce zostaną ujawnione”. Groźbna nie została jednak spełniona. Udało się natomiast zmusić ministra Kozłowskiego do

zwolnienia ze stanowiska swego doradcy pułkownika Żmudy, jednego ze strategów zwalczania opozycji w latach 1980-ych.

Szef Krakowskiej komisji weryfikacyjnej SB Zbigniew Fijak oskarżył dziennikarza „Czasu” Marcina Mamonia, który zbierał materiały na temat byłych działaczy niezależnych pracujących w Urzędzie Ochrony Państwa (dawna SB), iż „widziano jego teczkę tajnego współpracownika”. Groźba podania oświadczenia do sądu spowodowała, iż zamieścił on w prasie oświadczenie z przeprosinami.

Wiosną 1991 roku, wraz ze zbliżaniem się kampanii wyborczej, sprawę ujawnienia byłych tajnych współpracowników SB podjęli politycy Porozumienia Centrum. 7 kwietnia Jan Olszewski tak uzasadnił tę zmianę stanowiska: „Listy konfidentów SB... mogą być użyte przeciwko nam przez tych, którzy budowali dawny system. Dokumenty, które rzekomo są niszczone, a jestem przekonany, że z pewnością zabezpieczono je i że znajdują się one w dyspozycji zarówno osób fizycznych, jak i specjalnych organizacji i siatek stworzonych w tym celu, o obcych mocarstwach nie mówiąc, są potężnym narzędziem w ręku politycznego przeciwnika. I dlatego sprawy tej pozostawić i zakryć milczeniem nie wolno. Niedopuszczalna jest sytuacja, w której z ust urzędującego ministra post-solidarnościowego dowiadujemy się, że wśród nowych prominentów życia politycznego, wśród naszych senatorów i posłów są ludzie, którzy współpracowali z SB i jednocześnie nie dowiadujemy się kto to jest. /.../ Solidarnościowy minister spraw wewnętrznych kieruje się więc w kwestii byłych współpracowników komunistycznej policji politycznej kryterium ich przydatności dla nowej policji i jej sprawności w kontrolowaniu nowej elity politycznej. Majewski stwierdza wprost, że ujawnienie agentów „utrudnia powstanie elit politycznych”, zaś na pytanie, czy współpraca z SB pozwala na zostanie posłem, odmawia odpowiedzi. Skoro jednak minister jest jednocześnie przeciwnikiem ich dekonspiracji przed społeczeństwem, można sądzić, iż odpowiadałoby mu sytuacja, w której znaczna część parlamentu składałaby się z osób łatwych do skompromitowania, zaś ich dossier byłby pod kontrolą MSW. Na obronę H. Majewskiego należy dodać, iż uważa on komunistyczną SB za organizację patriotyczną i podziwia jej sprawność zawodową. Pan minister dostrzega nawet w SB siłę antysowietyczną, gdy powiada: „mogę - z pełną odpowiedzialnością - stwierdzić, że przynajmniej od kilkunastu lat służby wywiadu i kontrwywiadu pracują na polskie konto”. Winne były jedynie komunistyczne władze polityczne, gdyż to od nich, a nie „od szefów wywiadu i kontrwywiadu zależało, z kim dzielono się informacjami i materiałami oraz kto w ostateczności czerpał z tego korzyści”. Z KGB „w praktyce współpraca za-marla w połowie lat osiemdziesiątych”.

Podobne stanowisko zajął ostatni szef SB, Jerzy Karpacz, choć postrzega on cały problem w szerszej skali. „Uważam - stwierdza poseł Karpacz - że np. po ujawnieniu w niektórych państwach dawnego bloku wschodniego nazwisk niektórych agentów tamtejszych służb specjalnych, realne jest zagrożenie, że wielu innych dobrze uplasowanych agentów, po prostu zrezygnuje z dalszej współpracy”. Ujawnienie rzeczywistych agentów, zdaniem byłego szefa SB, zagroziłoby demokracji, gdyż nikt nie zdecydowałby się na współpracę ze służbami, jeśli „nie będzie miał całkowitej pewności co do gwarancji zachowania jego pełnej anonimowości w tym względzie”.

Osobnym zagadnieniem jest obecność byłych agentów, w tym agentów KGB i GRU, w wojsku. Tajne stowarzyszenie oficerów zawodowych Viritim (w lipcu sąd odmówił jego rejestracji), które domaga się oczyszczenia wojsk z osób skorumpowanych, komunistów i agentów, szacuje, iż wymienione grupy stanowią 40% kadry, natomiast agenci - 5%, tj. około 3 tysięcy oficerów. Członkowie stowarzyszenia zachowują anonimowość, ze względu na represje ze strony władz MON. Solidarnościowi wice-ministrowie obrony narodowej, Janusz Onyszkiewicz i Bronisław Komorowski, uważają członków Viritim za grupę skrajną oraz przeciwstawiają się wymianie kadr kształconych w Moskwie na młodszych oficerów.

Wśród polityków post-solidarnościowych lewica i rząd mianowany przez L. Wałęsę są zdecydowanie przeciwni ujawnianiu byłych agentów zajmujących odpowiedzialne stanowiska w życiu politycznym kraju.

Józef DARSKI

/przedruk za: Józef Darski, *Tajni współpracownicy policji politycznej w państwach postkomunistycznych*, W-wa 1992, wyd. Instytut Polityczny/

LIST Z USA

Szanowny Panie Redaktorze!

/.../ Mój kontakt z „SW” datowany jest na początek roku 1989 /.../ kiedy to otrzymałem pierwsze (pierwsze dla mnie) n-ry „SW”. Tygodnik „SW” był moją ulubioną lekturą i czytałem go od deski do deski, a także dawałem innym do przeczytania. Tygodnik „SW” był jedyną wiarygodną gazetą informującą o tym, co naprawdę działo się w Polsce w 1989 roku, pisał prawdę o „Okrągłym Stole”, o przywódcach Solidarności, o kulisach różnych spraw. Słowo, pisał o tym wszystkim, o czym powinien wiedzieć każdy młody i dorosły Polak, aby nie stał się obiektem manipulacji, jak to było w okresie rządzenia PZPR-u. Zresztą chwalić mógłbym tygodnik „SW” bez końca - napiszę tylko jedno, robiliście dobrą, bardzo dobrą robotę. /.../

Andrzej LEWANDOWSKI
10 czerwca, Brooklyn, New York

CZY PARTIA WOLNOŚCI UMRZE ŚMIERCIĄ NATURALNĄ?

Wywodząca się z „Solidarności Walczącej” Partia Wolności w oczach opinii publicznej uchodzi za środowisko „zadymiarzy”. I słusznie. W czasie stanu wojennego i później organizowanie jawnych manifestacji było sporym aktem odwagi. I na pewno ta forma działania przyspieszyła koniec „komuny”. Jednakże czasy się nieco zmieniły, i metody, które kiedyś były jedyną z najskuteczniejszych, dzisiaj okazują się zbędnym balastem.

W działalności każdego środowiska politycznego można bowiem wyróżnić dwie składowe: program oraz metody i sposoby jego rozpowszechniania. Banalnym jest stwierdzenie, że społeczeństwo składa się z różnych warstw, grup, klas itd. Aby do nich dotrzeć trzeba stosować różne sposoby argumentacji, różne metody perswazji. Niektóre z nich pozwalają dotrzeć do wszystkich, inne do niektórych a są też takie, które zniechęcają wszystkich, niezależnie od tego, co się mówi. O ile w latach 1989-91 ogólne rozpoznanie sytuacji politycznej dokonane przez „Solidarność Walczącą” było trafne, to metody przekonywania społeczeństwa o swoich racjach były fatalne. Zbyt długie ukrywanie się K. Morawieckiego, gdy już zlikwidowano SB, cenzurę i inne widoczne oznaki systemu komunistycznego w aktywnej politycznie części społeczeństwa budziło niezrozumienie, narażając go na śmieszność. Rzecz najgorsza jaka może przydarzyć się politykowi. Podobnie było podczas kampanii wyborczej. Krytyka Magdalenkowych Porozumień była zasadna, lecz jej okazywanie poprzez wyrzucanie stołów w studnio wyborczym rodziło u potencjalnego odbiorcy podejrzenia o awanturnictwo i warcholstwo polityczne. Sprawa ujawnienia tajnych współpracowników SB i dokumentacji struktur państwowych /za wzór może służyć np. Czechosłowacja/ była ważnym wątkiem w kampanii wyborczej, lecz jej prezentowanie poprzez potrząsanie cepem i zapowiedzi oddzielenia plew od ziaren mogły rodzić podejrzenia o skrajny jakobinizm i bolszewizm. Posługując się takimi metodami można skompromitować najmądrzejszy nawet program i najszczytniejsze wartości ideowe.

Obecnie kierownictwo SW i PW podjęło się inicjatywy organizowania 13 każdego miesiąca demonstracji domagających się dymisji Wałęsy i powstrzymania niekorzystnej dla kraju polityki gospodarczej. Demonstracje te mogą być dla nas szansą lub zagrożeniem. Szansą będą wówczas kiedy uda nam się zmienić nasz obraz w oczach opinii publicznej. Kiedy uda nam się przekonać ludzi, że nie jesteśmy - wbrew pozorom - garstką zacietrzewionych krzykaczy ale stanowimy poważną /w sensie ideowym, a nie materialnym/ alternatywę polityczną. Kiedy uda nam się wreszcie, za pośrednictwem organizowanych regularnie wieców trafić do świadomości społecznej społeczeństwa, dotrzeć do nowych ludzi i środowisk.

Jednakże manifestacje te mogą być również dla nas zagrożeniem. Zagrożeniem będą wówczas, kiedy utrwali się w świadomości społecznej błędny obraz PW - grupki szczeniaków politycznych, która prócz kilku wyartych hasel i sloganów nie głosi nic ciekawego i odkrywczego. Nie jest doprawdy naszą winą, że wielu tego świata spychają nas na margines polityczny. Czasami margines jest po prostu bardziej odkrywczy i inspirujący. Ale będzie naszym niewybaczalnym błędem, jeżeli na margines ten, skaże nas nasza beczność i głupota!

Co jednak zrobić żeby planowane przez nas manifestacje odniosły sukces. Myślę, że powinny być one odpowiednio przygotowane, zorganizowane i przeprowadzone. Wymienię może najważniejsze elementy które winny się pojawić w każdej manifestacji:

- /1/ informacja o manifestacji; każda demonstracja winna być zarejestrowana, a poprzez plakaty należy zawiadomić mieszkańców danego miasta lokalną prasę i środki masowego przekazu o planowanym terminie demonstracji,

- /2/ informacja o PW; każda demonstracja winna być poprzedzona lub zakończona zwięzłą informacją o siedzibie lokalnego oddziału PW, terminie spotkań, adresach kontaktowych, możliwości nabycia miesięcznika „SW” itd,

- /3/ kolportaż „SW”; w czasie każdej demonstracji jedna osoba winna zająć się sprzedażą lub rozdawaniem /np. zaległych numerów/ miesięcznika „Solidarność Walcząca”. Na tę okazję warto również przygotować ulotkę informującą o historii SW i PW, założeniach programowych, ocenie sytuacji, adresach kontaktowych itd.

- /4/ unikanie skrajnych emocjonalnych określeń; np. posługiwanie się bez należytego uzasadnienia terminem „zdrada” nie posiada zbyt wielkiej mocy perswazyjnej; lepiej podać merytorycznie udowodnione przykłady niewywiązywania się czołowych polityków /np. Wałęsy/ z obietnic przedwyborczych niż uciekać się do merytorycznie nieuzasadnionego wartościowania na podstawie przytoczonych przez nas faktów i argumentów. Odbiorca sam powinien wyciągnąć wnioski a nie odwrotnie.

- /5/ unikanie emocjonalnego tonu wypowiedzi; zdaje sobie sprawę, że organizatorzy manifestacji sami będą zdenerwowani - wszak niektórzy będą to robić pierwszy raz. Jednakże spokój i opanowanie, czasem jakiś dowcip lepiej oddziałuje na słuchacza niż namiętne i krzykliwe wypowiedzi.

- /6/ zamiast krytyki personalnej - systemowa; dominujące w wypowiedziach przedstawicieli PW jest personalistyczne widzenie polityki. Usunięcie pewnej liczby osób - komunistów, agentów, Wałęsy /np. w przypadku ruchu narodowego - Żydów/ ma jakoś automatycznie uzdrowić sytuację. Tymczasem to pewne mechanizmy społeczne selekcionują i kreują elity polityczne, które aby być nadal elitami zachowują się w określony sposób. Hasło dymisji Wałęsy winno być traktowane jako hasło właśnie, a nie żądanie wyczerujące cały nasz program

- /7/ zamiast monologu - dialog; o ile to możliwe poprzez instalowanie drugiego mikrofonu czy udostępnienie dodatkowego megafonu należy stworzyć do spontanicznego wypowiadania się widzów, zadawania pytań itd. Pozwoli to szerzej zaprezentować program PW oraz dotrzeć do nowych środowisk.

- /8/ zaproszenie osób z zewnątrz; w małych miejscowościach można uatrakcyjnić wiec poprzez zaproszenie znajomych polityków - np. K. Morawieckiego, A. Gwiazdę, A. Walentynowicz, W. Mysieckiego itd.,

- /9/ ogólna prezentacja; organizatorzy demonstracji szczególnie ci co przemawiają winni być właściwie ubrani - najlepiej w krawat i garnitur. Odpowiedni ubiór wzbudza zaufanie i szacunek.

Warto więc na podstawie powyższych kryteriów dokonać oceny poznańskiej demonstracji z dnia 13.V. Demonstracja była zgłoszona u władz miasta, przygotowano plakaty informujące o czasie i miejscu wiecu, powiadomiono prasę. Za ten element organizacji należy się więc 1 punkt. W czasie wiecu, o ile dobrze pamiętam, informacje o oddziale poznańskim PW - terminie spotkań, adresie itp. nie były zbyt dobrze wyeksponowane. Przyznajemy więc 0,5 punktu. Za kolportaż miesięcznika „SW” należy przyznać kolejny 1 punkt.

Trudniejsza jest natomiast ocena wystąpienia - Kornela Morawieckiego i Macieja Frankiewicza. Pierwsze przemówienie Kornela /na pl. Wolności/ było chaotyczne. Używał on zbyt dużo pustosłowia oraz sformułowań bez pokrycia. Drugie wystąpienie /Stary Rynek/ było nieco lepsze. - W obu jednak zabrakło jakiejś poważniejszej analizy sytuacji czy zaproponowania alternatywnych rozwiązań /oczywiście na tyle, na ile pozwalają warunki na manifestacji/. Przemówienie Macieja merytorycznie było lepsze, lecz wygłoszone w zbyt emocjonalnym, dramatycznym tonie. Przez to, stworzonemu napięciu emocjonalnym nie towarzyszyły żadne końcowe wnioski czy pozytywne propozycje. W obu przypadkach dominowała za to, krytyka personalna Wałęsy bez przedstawienia konkretnych poczyną politycznych Prezydenta. W sumie, za elementy /4/-/6/ manifestacji trzeba przyznać 1,5 punktu. Na demonstracji obecny był gość z zewnątrz - K. Morawiecki. Dodajemy więc kolejny punkt. Nie pomyślano by umożliwić zgromadzonemu osobom możliwość zadawania, pytań, wypowiedzi itd. Przyznajemy 0 punktów.

K. Morawiecki był ubrany odpowiednio /marynarka, biała koszula, krawat itp./. Natomiast najgorzej wyglądał Frankiewicz. Miał na sobie pogniecioną koszulę i w dodatku nie wciągniętą w spodnie. Należy więc się 0 punktów. Na maksymalną ilość 9 punktów poznańska demonstracja otrzymuje 5. Jak na jeden z czołowych ośrodków PW jest to raczej średnio.

Pytanie postawione w tytule zależy właśnie od szeregu takich praktycznych, przyziemnych działań. Jeżeli poprzez manifestacje uda nam się zaistnieć na scenie politycznej, pozyskać nowe twarze i osoby manifestacje odniosą swój cel. Jeżeli będzie natomiast odwrotnie, jeżeli sposób przeprowadzenia manifestacji i wieców utrwali, a co gorsza potwierdzi nasz obraz funkcjonujący w oczach opinii publicznej, to działania te okażą się kolejnym niewypałem. Niewypał ten może być ostatnią deską do trumny Partii Wolności.

Krzysztof BRZECHCZYN



Koło Lwowian w Chicago Polish Circle of Lwów

Do Szanownej Redakcji
„Solidarności Walczącej”

Piszę w sprawie artykułu „QUI BONO? DIVIDE ET IMPERA” jaki ukazał się w miesięczniku „Solidarność Walcząca” Nr 4, kwiecień 1992.

Autor artykułu pan Olgierd Zarudzki jak widać poznał historię Polski ze szkół PRL-u i ze źródeł propagandy ukraińskich nacjonalistów. Nie można się więc dziwić jego negatywnemu stanowisku do Polski w okresie międzywojennym.

Twierdzi on, że Polacy nic nie chcą wiedzieć o błędach władz II Rzeczypospolitej na terenach południowo-wschodnich i uważa, że trzeba ich trochę w tym kierunku uświadomić. Skąd taka wielka miłość do ukraińskich nacjonalistów? Urodziłem się we Lwowie, tam się kształciłem i stosunki polsko-ukraińskie znam nieco lepiej od pana Zarudzkiego. Pisze on, że my nic nie chcemy wiedzieć o niszczeniu szkół ukraińskich, o nie dotrzymaniu obietnic, o autonomii, o pacyfikacji. Postaram się dać odpowiedź na te tematy.

SKOLNICTWO

W roku 1932 w trzech województwach południowo-wschodnich RP działało 589 szkół ukraińskich /ruskich, natomiast szkół mieszanych polsko-ruskich 1.935. Na Wołyniu było 11 szkół ukraińskich i 530 mieszanych. 130.000 dzieci polskich i ruskich w 1936 roku z braku miejsc było poza szkołą, ale ta dyskryminacja dotyczyła w jednej mierze działkę polską i ruską.

Do tego dodać należy, że w roku szkolnym 1930-31 mieliśmy w Polsce 10 ukraińskich seminariów nauczycielskich i 13 seminariów mieszanych.

W roku akademickim 1929-1930 studiowało w Polsce 2175 Ukraińców. Na Uniwersytecie Lwowskim Jana Kazimierza w roku akademickim 1925-26 było 1.067 Ukraińców, na Politechnice Lwowskiej 293, na Akademii Medyczno-Weterynaryjnej 100. W roku 1933 studiowało na polskich uczelniach wyższych 3.017 studentów ukraińskich. Jedyńą wyższą uczelnią ukraińską była greckokatolicka Akademia Teologiczna założona przez metropolitę Szeptyckiego. Uniwersytetu ruskiego nie było z winy samych Rusinów, albowiem żadne miasto poza Lwowem im nie odpowiadało. Tymczasem gmachy pokoszarowe w Warszawie czekały na ukraińską zgodę, aby wypożyczyć na nich sztyl: Uniwersytet Ruski.

PACYFIKACJA

Pacyfikacja była - ale wcale nie miała charakteru i rozmiaru „grozy” przyjętej przez PRL-owską fałszywą historię i propagandę ukraińskich nacjonalistów. Przedstawiły one władze polskie jako zespół potworów i sadystyczną dziczą znęcającą się nad biednymi chłopami ukraińskimi.

Rząd i polski parlament niejednokrotnie ostrzegali ukraińską nacjonalistyczną ekstremę, że jeśli nie zaprzestanie ona zamachów na ludzkie życie, palenia dworów i zboża, sabotażu, dezorganizacji administracji rządowej oraz groźby anarchii, to władze niepodległej RP zmuszone będą do zastosowania stanowczych środków. Przy tym strona polska wskazywała, że żadnej kraj na świecie nie „cacka” się z tak wyraźnym bandytyzmem uprawianym przez ukraińskich nacjonalistów, jak Polska. Żaden też kraj nie obchodzi się tak łagodnie z obcą agenturą działającą na jego terenie. Jednak cierpliwość ma swoje granice. Ostrzeżenia te nie były brane poważnie i uważane były za „polską słabość”.

W końcu władze polskie przestały żartować i wysłały w teren specjalne oddziały karnej ekspedycji. Był to pokaz siły, by dać dowód, że jesteśmy w stanie zaprowadzić ład na obszarze niepokoju i anarchii.

Mając pokaźne fundusze pochodzące z kasy obcego wywiadu, ukraińscy nacjonałści rozpoczęli antypolską działalność na skalę międzynarodową. Oplacali dziennikarzy /robią to i dziś/ gazet anglojęzycznych, niemieckich, francuskich, hiszpańskich i innych i za ich pośrednictwem głosili jak to Polacy rozprawiają się z ludnością ukraińską Wołynia i Małopolski Wschodniej: „ogniem i mieczem”. Opinia narodowa w te kłamstwa uwierzyła, lecz pewna jej część

zreflektowała się wkrótce, że jest oszukiwana. Po powrocie z Polski korespondentów włoskich, brytyjskich i francuskich i po zapoznaniu się z rozmiarami szkód wyrządzonych przez ukraińskich ekstremistów, wyrazili opinię, iż środki podjęte przez władze polskie były nader łagodne w porównaniu z tym jakie zastosowałby każdy rząd suwerennego państwa w podobnej sytuacji.

AUTONOMIA

Sprawa autonomii Małopolski Wschodniej nie została załatwiona do końca, bo byli jej przeciwni ukraińscy terroryści z OUN. Właśnie ta sprawa, jak i kwestia ukraińskiego uniwersytetu, mogły poważnie zbliżyć te dwie narodowości. Tego jak ognia bali się ukraińscy nacjonałści. Zgoda polsko-ukraińska wytrącała im z rąk najważniejszy atut walki. Oni woleli, ażeby istniały przedmioty sporu podsycające waśnie i urazy. Dlatego też wydawali i wykonywali wyroki śmierci zarówno na Polakach i Ukraińcach, którzy działali na rzecz zbliżenia i pojednania polsko-ukraińskiego. Ukraińscy liderzy z partii umiarkowanych z obawy przed utratą życia, nie domagali się zbyt energicznie wprowadzenia autonomii i swoją politykę spowodowali, że ustawa ta wciąż do końca nie została wprowadzona w życie. Nacjonalistom dawało to do rąk ważny atut usprawiedliwiający ich terrorystyczną działalność. Naturalnie, dla takich „Polaków” jak pan Zarudzki, który wie wszystko lepiej niż inni, to co mówią Polacy to kłamstwo dążące do skłócenia dwóch narodów.

Postawmy sprawę jasno. Jakiegokolwiek by wielkie były błędy i przewinienia przedwojennej polityki polskiej wobec Ukraińców, nie stanowią one ani części zbrodni popełnionych przez OUN-UPA na Polakach podczas II-giej wojny światowej. W obłąkanej idei rozwiązania kwestii polskiej na Wołyniu i Wschodniej Małopolski, w okrutny sposób wymordowali ponad 500.000 dzieci, kobiet i starców. Prezydent Ukrainy Leonid Krawczuk uznał że: „Ukraiński nacjonalizm czerwono-czarny splamił imię Ukrainy swą współpracą z nazizmem i zbrodniami popełnionymi na polskiej ludności...”

Również zjazd ukraińskich historyków, który miał miejsce w Łucku, w lutym 1991 roku orzekł: „...antyludzka i zbrodnicza ideologia i praktyka Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów nie ma prawa do rehabilitacji...” /Kijowski „Fakt” 2.3.91/.

My zemsty nie chcemy, ale zapomnieć nie możemy. Z narodem ukraińskim do zgody zawsze jesteśmy gotowi - z mordercami polskiej ludności, dzieci, kobiet i starców - Nie! Działają oni nadal w „Zachodniej Ukrainie” /Galicia/ i zięją nienawiścią do wszystkiego co polskie. Wystarczy czytać ukraińskie gazety wychodzące we Lwowie. Niestety mają jeszcze wśród Polaków /jak p. Zarudzki/ swoich obrońców i przyjaćli.

Pozwalam sobie załączyć wspomniany przez pana Zarudzkiego „apokryf” - Tajna Uchwała Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów we Lwowie, r. 1990”. Z osobami, które ten materiał zdobyły mamy kontakty osobiste no i kosztowało nas to nieco pieniędzy. /Ukraińców też można przekupić, nie tylko Polaków/.

Nie spodziewam się wcale by pan Zarudzki w to co tu napisałem, uwierzył, prawdopodobnie jest on tego typu ludzi, którzy wszystko wiedzą lepiej jak inni.

Kreślę się z szacunkiem

Rudolf VEIT

Koło Lwowian, Chicago

Ku zgodzie narodów

Mój artykuł pt. „Qui bono? Divide et impera...”, którym w kwietniowym numerze miesięcznika „SW” włączam się w polemikę dotyczącą także na forum Polonii stosunków polsko-ukraińskich doczekał się oto ataku ze strony pana Rudolfa Veita reprezentującego polonijne Koło Lwowian w Chicago. Jest on o tyle charakterystycznym, że właśnie w międzywojennym Lwowie było centrum napięć polsko-ukraińskich, które stąd jak fale rozchodziły się po prowincji zaogniając lokalne konflikty.

Z mojego artykułu pan Veit marginalnie potraktował ideę pojednania polsko-ukraińskiego niezbędnego obu Narodom, na pierwszy zaś plan wysunął smutną i krwawą przeszłość. A to już ma znamiona manipulacji.

Przypominam moje tezy we wspomnianym artykule i innych:

1. Tak Polsce jak i Ukrainie dla umocnienia suwerenności niezbędne są dobrosąsiedzkie stosunki.

2. Rosja zrezygnowała z komunizmu jako z narzędzia skompromitowanego, jednak nie rezygnując ze swoich ekspansywnych odwiecznych dążeń /pomimo obecnej ruiny ekonomiczno-społecznej/ szykuje nowe plany podbojów. A w pierwszej fazie zachowania obszaru swych wpływów.

3. Zjednoczone Niemcy - do których dojdzie i Austria - po uporaniu się z przejściowymi problemami wewnętrznymi zdominują zjednoczoną Europę. Imperializm niemiecki będzie miał charakter podboju ekonomicznego, szczególnie groźnego dla zrujnowanych krajów postkomunistycznych. Z uśmiechem pobłażania zmaganiom rosyjsko-niemieckim w Europie będzie przyglądał się rząd USA zajęty swymi głównymi problemami ekonomicznymi na Dalekim Wschodzie.

4. Jedynym ratunkiem dla wynędzniałych po czerwonym reżimie krajów jest idea zgody i współpracy Międzymorza. Dlatego też starzy wrogowie tych Narodów obłudnie udając przyjaciół raz tego, raz innego, nie zaniebują żadnej możliwości do skłócenia ich.

Pan Rudolf Veit wszystko tu ujmuje w swej wypowiedzi na opak. Pozując na jasnowidza twierdzi jakoby ja poznał historię Polski ze szkół PRL i ze źródeł propagandy ukraińskich nacjonalistów... Otóż p. Veit jak się okazuje nie ma pojęcia, że oficjalna nauka i mass media w PRL starannie unikały wszystkiego - poza prześladowaniem ukraińskich komunistów z KPZU - co tylko było błędem lub grzechem władz II Rzeczypospolitej względem jej ukraińskich obywateli. W tej bowiem indoktrynacji Ukraińcy mogli uchodzić za potworów, których zbrodnie wynikały jedynie z patologicznych skłonności, bez żadnych innych przyczyn. „Uzasadniało” to więc i powojenną deportację z rozkazu Stalina i późniejsze traktowanie ukraińskiej mniejszości w PRL jak środowiska kryminalnego. Nikt nie brał pod uwagę, że właśnie wśród tych szykanowanych i inwigilowanych Ukraińców w PRL odsetek przestępców był wyraźnie niższy niż reszty ludności.

Moje poglądy na historię kształtowały się m.in. w latach 1949-1950 w poznańskim więzieniu śledczym UB przy ul. 27 Grudnia. Miałem wtedy lat 21, a znalazłem się tam za stworzenie polskiej małej młodzieżowej organizacji antykomunistycznej. Było tam wiele czasu na prowadzone półgłosem dyskusje. Moimi współwięźniami byli m.in. Stanisław Michałowski-jeden z „procesu 16” w Moskwie /wrócił z ZSRS, ale UB chciało się popisać tu swą gorliwością/, mec. Józef Wysocki z Zakonu Narodowego /po latach ułatwił mi znalezienie pracy/, major wywiadu AK Zbigniew Woronicz recte Makush /latami szukałem go bezskutecznie/, ppłk. Józef Sikorski z czasu II wojny komendant AK w Miechowie /wysadzenie torów wykonywane przez jego ludzi oficjalnie przypisano AL/. Tam to przez wyskrobaną między cegłami ściany dziurkę rozmawiałem ze sławnym powojennym partyzantem Marianem Rączką ps. „Kościuszko”, a po latach odwiedziłem go w jego Gostyniu dziękując za zbawienną radę, dzięki której bez niczyjej krzywdy wyszedłem na wolność. Po okoku roku ukrywania się rozpocząłem, - jak wielu „spalonych” - pracę rozjazdową w różnych instytucjach kontraktujących rośliny przemysłowe na Ziemiach Zachodnich. Poznałem wielu przesiedlonych Ukraińców, którzy żyli tam jak pałasi w Indiach. Pomagałem im w miarę możliwości, ostrzegałem przed prowokacjami „władzy ludowej”.

W późniejszych latach w kręgu moich najbliższych kolegów byli dwaj, niestety już dziś nieżyjący, wieloletni więźniowie sowieckich łagrów: Olgierd Bohusz-Siestrzenecwicz, który trafił tam jako 17-letni żołnierz AK ze Szczuczyna Nowogrodzkiego na 11 lat /w tym 1 rok „posielenia” już po upływie wyroku/, któremu w krytycznym momencie życie uratował Ukraińiec z wyrokiem 25 lat - główny inżynier jednej z kopalń węgla w Workucie. A Iwan Hrab ze wsi Złockie koło Krynicy, Łemko przeżył 9 lat łagrów. Spisałem jego wspomnienia z tej międzynarodówki piekła na ziemi. Tam właśnie następowały refleksje i głębokie rachunki sumienia, zawiązywała się prosta codzienna koleżeńska solidarność gnębionych.

Czy aż tego trzeba było?

Inaczej to wyglądało i wygląda tutaj niż w zaciśniętym USA gdzie amerykańskie mass media koniunkturalnie przedstawiały Stalina jako trochę dziwnego „wujka Joe”, jego następców jako zbrodniarzy lub partnerów, a Gorbaczowa wprost ogłaszają zbawcą świata... Tamtejsza Polonia w jakiejś mierze też przez te okulary oglądała sprawę Kraju, a do tego komunistyczna propaganda „zaopiekowała” się polonijną prasą i stowarzyszeniami podrzucając rozmaite „kukulce jaja”. Wśród nich pretensje terytorialne - przynętę z ukrytym ostrym haczykiem. Ta propaganda gra na sentymentalnych uczuciach obalamuconych ludzi, prowadzi do skłócenia wyczerpanych narodów i

do obłądnych wniosków. Bo jeśli na dawnych Kresach Wschodnich jest dziś 1-2% tamtejszych Polaków, to co z resztą ludności chcą zrobić ci, którzy domagają się wschodniej granicy Polski z 1939, a nawet 1772 roku? Deptrować, wytępić, spolonizować? Psychiatro ratuj!

Obecnie, uwzględniając małżeństwa mieszane, naturalną asymilację itp. można uznać, że ukraińska mniejszość w Polsce jest równa mniejszości polskiej na Ukrainie, gdzieś około 300.000. Te mniejszości w niczym nie zagrażają państwu, na których terytorium żyją. Gorzej będzie, jeśli rozwiną swą złą działalność obce siły podburzające. Prowokatorzy siedząc w bezpiecznym ukryciu dla swych niecznych celów ściągną odium na te Bogu ducha winne mniejszości narodowe. Niech Bóg zachowa, by polska szkoła we Lwowie bądź ukraińska w Legnicy miały być okrzykane bazami V kolumny! Niech Bóg zachowa, by polskim dzieciom w Łucku, a ukraińskim w Koszalinie ich rówieśnicy kijami i kamieniami przypominali spory pradziadków!

Do niedawna na Nowej Gwinei młody Papuas by zostać pełnoprawnym członkiem szczepu, musiał starszyźnie okazać głowę własnoręcznie zabitego wroga. Obojętne, czy tym wrogiem było bezradne dziecko, starzec lub kobieta.

Wrogiem był każdy obcy. Każda wieś otoczona palisadą, a mieszkańcy do pracy w polu wychodzili z lukami, oszczepami i maczugami. Tak od niezliczonych pokoleń więc rejestr krzywd kolosalny. A w środku Europy? Jeśli na potańcówce w Psiej Wólce Antek poturbuje Franka, po czyjej stronie jest opinia psiowółczan? Oczywiście po stronie agresywnego nie od dziś swojaka bo on przecież nasz, z Psiej Wólki, a tamten z wrednego Kaczego Dołu, całe dwa kilometry od nas!

Cóż z takiego „patriotyzmu” jak widać zachowało się u niektórych osób z Polonii - swój ma zawsze rację!

Nie wiem czy pan Rudolf Veit jest chrzczonej wodą, czy może jakimś rytualnym szczyrykiem. Bo jeśli jest chrześcijaninem, to powinno mu być znane pojęcie rachunku sumienia. A ten rachunek sumienia obowiązuje także w wypowiedziach de publicis. Nie pozwała bić się za winę swoich w cudze piersi.

Dwie mogą być postawy wobec złej przeszłości: albo przemilczenie albo wnikliwe zbadanie przyczyn i skutków. Jesienią 1980 r. w Niemczech Zachodnich odbyło się wspólne sympozjum emigracyjnych historyków i intelektualistów starających się przeanalizować przyczyny zła: czy obecnie jeszcze one mogą szkodzić. Za główne korzenie konfliktów polsko-ukraińskich uznano: wielką własność polską na tamtych terenach, polską politykę dyskryminującą Ukraińców oraz niewielką liczebnie pod dawnymi zaborami ukraińską elitę. Uznano to za niepowrotną przeszłość. Na tym spotkaniu polsko-ukraińskim był redaktor Wolnego Ukraińskiego Uniwersytetu w Monachium oraz dawny polski prokurator, który kiedyś oskarżał go w procesie zabójców min. Pierackiego. I obaj starsi panowie publicznie podali sobie ręce uznając winę obu stron, wyrażając przekonanie, że to się nigdy nie powtórzy.

Argumenty pana Veita o sytuacji Ukraińców w II Rzeczypospolitej i rzekomo wyłącznie ich złej woli są po prostu niepoważne.

W latach dwudziestych działał we Lwowie tajny uniwersytet, a nawet politechnika ukraińska. Wystarczyły by władzom to zalegalizować. Prawda, proponowano kiedyś Ukraińcom zgodę na utworzenie uniwersytetu w Krakowie, a później jakiejś możliwości prac naukowych w Warszawie, a oni takie oferty odrzucili. Otóż to. Ciekaw jestem czy Polacy mocno związani /choć nie autochtoni! / z Chicago, gdyby w odpowiedzi na swe starania otrzymali zgodę władz USA na założenie sobie uniwersytetu w stanie Utah, gdzie rodaków można zliczyć na palcach jednej ręki a miejscowi Mormoni krzywym okiem spoglądaliby na przybyszów, czy by przyjęli taką propozycję?

Podobnym argumentem dla naiwnych jest liczba ukraińskich szkół w międzywojennej Polsce. Trzeba by podać ich liczbę i w roku 1922 i 1939 a wtedy wyszłaby na jaw smutna prawda. Tragiczne skutki wynikły z ustawy o szkolnictwie z roku 1924, obowiązującej do czasu okupacji hitlerowskiej. Ustawa ta i jej interpretacje jaskrawo faworyzując polskie szkoły stwarzały rodzicom ukraińskich dzieci prawdziwy tor przeszkód. Państwowych szkół podstawowych odcizczonych po Austrii było w roku 1925/26 aż 1279. W roku zaś szkolnym 1936/37 już tylko 496. Powstały natomiast tzw. szkoły utrakwistyczne tj. wspólne, dwujęzyczne. Tych w roku 1936/37 było 2.710. Aby taka szkoła mogła powstać, trzeba było formalnych oświadczeń potwierdzonych urzędowo od rodziców przynajmniej 40

ukraińskich dzieci. W utrakwistycznej szkole stopniowo redukowano nauczanie w języku „ruskim”, aż nieraz tylko pozostawała w nim nauka śpiewu. Ukraińskich nauczycieli ministerstwo bezapelacyjnie przenosiło do szkół w głębi etnicznej Polski /np. spod Lwowa do Wągrowca/, zaś na ich miejsce przysłało takich, po których władze spodziewały się umacniania polszczyzny na Kresach Wschodnich. Nie trzeba chyba dodawać, że byli to ludzie zupełnie obcy temu środowisku, ignorujący dotąd tu znaną zasadę wzajemnej tolerancji i sąsiedzkiej zgody.

Grecko-katolickie seminaria i Akademia Duchowna we Lwowie /jako substytut uniwersytetu rozszerzająca swój program na niektóre kierunki humanistyczne/ działały korzystając z opieki Watykanu. Natomiast obowiązujące na niektórych wyższych uczelniach limity miejsc dla Ukraińców sprawiały, że studniowali oni za granicą co było możliwe tylko dla zamożniejszych.

Klasycznym zaprzęgnięciem wozu przed końmi jest twierdzenie pana Veita, że sprawę autonomii Galicji Wschodniej /w początku lat dwudziestych/ stordedowała OUN, która powstała w roku 1929. OUN wyrosła z niewielkiej liczebnie Ukraińskiej Organizacji Wojskowej /odpowiednik + - polskiej POW/ już w wyniku potęgających się napięć. Przeprowadzona zaś jesienią 1930 roku „pacyfikacja” działając na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej dała ten skutek, że do OUN masowo garnęli się nawet apolityczni dotąd Ukraińcy.

Myślę, że Melchior Wańkowicz i Paweł Jasienica to nie „Polacy” lecz Polacy, którzy historii nie uczyli się „w szkołach PRL i od ukraińskich nacjonalistów”, można przeczytać co oni o tych tragicznych sprawach napisali. Wtedy czytelnik dowie się m.in. jak to wenerycznie chorych ułanów 14 pułku we Lwowie wyciągano ze szpitali i wysyłano na taką „pacyfikację” w teren. Nie wiem, na jakich to zagranicznych dziennikarzy powołuje się pan Veit - co im podano do wiadomości, czy mogli swobodnie zbierać informacje, jeśli uznali ją masową i brutalną akcją za usprawiedliwioną? Wiem, że ukraińska emigracja opublikowała wtedy „Polską księgę hańby”, a relacje i fotografie skatowanych duchownych, nauczycieli, działaczy kultury i samorządowej spółdzielczości wiele na forum opinii światowej władzom Rzeczypospolitej zaszkodziły.

Kompletną zaś bzdurą jest twierdzenie jakoby to Ukraińcy nie chcieli przyznania autonomii Galicji Wschodniej. Właśnie niedotrzymanie przyrzeczeń Rzeczypospolitej złożonych w Lidzie Narodów stało się przyczyną coraz to dramatyczniejszego błędnego koła.

Najsilniejsze wpływy w środowisku ukraińskim międzywojennej Polski, a także reprezentację w Sejmie i Senacie miało umiarkowane Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne /UNDO/. Prowadziło działalność w ramach obowiązującego prawa, rozwijało instytucje samorządowej oświaty, kultury i spółdzielczości. Na forum parlamentarnym protestowało przeciw dyskryminującym decyzjom władz państwowych, wysuwało postulaty oparte przeważnie na niedotrzymanych w praktyce przyrzeczeniach władz. Te wystąpienia posłów i senatorów dawały znikome efekty. Do takich efektów można np. zaliczyć wstrzymywanie na kilka lat osadnictwa wojskowego, które z reguły stwarzało konflikty środowiskowe.

Z inicjatywą pojednawczą w krytycznym momencie wystąpił też duchowy przywódca Ukraińców metropolita Szeptycki, wnuk Aleksandra hr. Fredry. Mimo choroby poleciał samolotem do Warszawy, by tam próbować negocjacji. Zlekceważono go, niemal wyśmiano. Podobnie potraktowano UNDO, do głosu dochodzili szowiniści, postawili - jak to określił p. Veit - na demonstrację siły... W tej sytuacji UNDO traciło wpływy na korzyść podziemnego OUP. Berlin i Moskwa skorzystały z okazji do odegrania roli opiekunów gnębionych Ukraińców. O ile jednak Moskwa przez perfidnie zorganizowany na sowieckiej Ukrainie potworny głód /zginęło wtedy 6-7 milionów opornych wobec kolektywizacji chłopów/ sama mocno osłabiła oddziaływanie swej propagandy, o tyle III Rzesza przyjmując Ukraińców na studia i wspierając dywersję zyskiwała do czasu na sympatii niektórych ugrupowań ukraińskich. Niektórych, bo UNDO z chwilą konfliktu polsko-niemieckiego stanęło po stronie Polski. A żołnierze ukraińscy w Wojsku Polskim lojalnie walczyli tak w 1939 r. jak i na szlaku afrykańsko-włoskim.

A co do fałszywki, będącej prawdopodobnie dziełem KGB czy GRU to ta rzekoma „Uchwała Krajowego Prowidu OUN” została m.in. dostatecznie zdemaskowana w materialnie zebranych przez Henryka Pająka. Dziwne to, że są wśród Polonii ludzie nie dostrzegający, że wszelkie próby skłócenia Polaków z Ukraińcami wychodzą od komunistycznych propagandzistów jak E. Prus i jemu podobni.

I tu nasuwa się pytanie - dlaczego wrzawę wokół owych „tajnych planów Ukrainy” zaczęto nie w Polsce lecz wśród Polonii za oceanem? Prawdopodobnie mistyfikatorom zależało na opatrzeniu swego dzieła imprimatur tych osób z Polonii, które by się na to dały nabrać. Poparty odpowiednio dobranymi wypowiedziami zatruty bumerang miał wrócić do Polski, a wtedy w cieniu autorytetów trudno byłoby się dopatrzeć Edwarda Prusa i spółki. Bo jak dotąd w Polsce rozpowszechniano tę mistyfikację w nader wąskim kręgu: w czasopiśmie wojskowym o ograniczonym zasięgu i wśród posłów i senatorów.

Znając zaś zasięg i metody działania /szantaż, przekupstwo itp./ KGB i GRU oraz podległych im organów PRL nie można wykluczyć pamiętając głośną w roku 1970 sprawę Czechowicza z RWE, iż i dziś mogą one mieć swe wytyczki w kręgach polonijnych.

Jeśli zaś pan R. Veit przytacza wypowiedzi strony ukraińskiej, co do zbrodni „nacjonalistów” (obejmuje to niewątpliwie i czyny anarchizujących bulbowców) to tym bardziej zobowiązuje go to do samokrytycyzmu jako wyrażiciela poglądów swego otoczenia.

Głógierd ZARUDZKI

„Głóg Wielkopolski” wobec „wydarzeń” czerwcowych 1976 roku.

W Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej słowo „wydarzenia” używane było oficjalnie jako określenie zmian nie przewidywanych przez władzę. Tak nazywano sytuację, w której ludzie występując w większej liczbie podejmowali działania niezależne od władz. „Wydarzenia” nosiły zwykle nazwy utworzone od miesięcy, w których miały one miejsce np. czerwcowe, grudniowe. Mówiło się też o „wydarzeniach” w miastach i okolicach np. „wydarzenia” w Radomiu i Ursusie. Słowo to w języku oficjalnym miało odcień negatywny; właściwie nic nie powinno się przecieżyć wydarzyć. Jeżeli już się coś wydarzyło, to działo się za sprawą agentów zewnętrznych lub ludzi z „marginesu społecznego”. W ten sposób na ogół oficjalnie interpretowano „wydarzenia”.

Terminem „wydarzenia” czerwcowe obejmuje się zazwyczaj strajki i demonstracje, jakie odbywały się w Radomiu i w Ursusie po ogłoszeniu przez premiera Piotra Jaroszewicza, w dniu 25 czerwca 1976 roku, podwyżki cen artykułów żywnościowych.

Braki w zaopatrzeniu rynku w środki żywnościowe, a także ciągłe pogarszające się warunki pracy /wadliwa organizacja i zarządzanie/ powodowały narastanie od 1975 roku niezadowolenia wśród robotników. Efektem tego był spadek dyscypliny oraz wydajności pracy. Mimo to kierownictwo partii i państwa podjęło decyzję, aby uzdrowić rynek żywnościowy poprzez podwyżkę cen. Pomimo przekonania „o konieczności skonsultowania podwyżki cen z klasą robotniczą, postanowiono dokonać tej konsultacji tylko pro forma”².

Decyzja o podwyżce cen z 1976 roku została podjęta po pięcioletnim okresie stosunkowo znacznego wzrostu realnych zarobków i świadczeń socjalnych, przy równoczesnym wzroście inwestycji.

Spodziewano się podwyżki cen, ale nie aż tak drastycznej ich zmiany. Nie akceptowano również zasad rekompensat Partia - Polska Zjednoczona Partia Robotnicza /dalej: PZPR/ pamiętając „lekcję grudnia 1970 roku” bała się reakcji społeczeństwa na planowaną podwyżkę cen. W związku z tym zadbanie o odpowiedni wybór daty /lato, sezon urlopowy, a nie Boże Narodzenie/. Podwyższono również na początku czerwca 1976 roku płace w wojsku i milicji. Natomiast w niektórych miastach wojewodowie oraz prezydenci wydali zarządzenia o wprowadzeniu przyspieszonego trybu w rozprawach przed kolegiami karno-administracyjnymi w sprawach o naruszenie porządku publicznego.

Fakty te wskazują, że władza najprawdopodobniej liczyła się z możliwością masowego protestu społeczeństwa. Przygotowano się więc do ewentualnej pacyfikacji i niezadowolenia społecznego.

W czwartek 24 czerwca 1976 roku - jak informował „Głóg Wielkopolski” - sejm PRL rozpoczął obrady. Premier Piotr Jaroszewicz

przedstawił: „Wniosek Rady Ministrów w sprawie propozycji niektórych zmian w strukturze cen /podkreślenie moje M.K./ detalicznych oraz zasad rekompensaty społeczeństwu skutków tych zmian”³. Po południu premier wygłosił przemówienie, w którym przedstawił dotychczasowe osiągnięcia w „realizacji strategii dynamicznego, społeczno-gospodarczego rozwoju kraju”. Stwierdził, że reforma cen zakłada pełny ekwiwalent pieniężny dla ludzi pracy. Tabela rekompensat, o której mówił, przewidywała dodatek w wysokości około 20% dla najmniej zarabiających i poniżej 20% dla najwyższych uposażonych. Ceny mięsa miały wzrosnąć przeciętnie o 69%. W tym takich gatunków mięs jak: szynka, baleron, schab, polędwica o blisko 100%. Masło miało zdrożeć o 50%, zaś cukier o 100%. Nowe ceny miały obowiązywać od 28 czerwca 1976 roku. Na koniec swego przemówienia Piotr Jaroszewicz powiedział między innymi: „Podanie do publicznej wiadomości terminu i zasad reformy cen na kilka dni przed wejściem jej w życie stanowi wyraz zaufania do społeczeństwa, wiary w poczucie godności i dyscypliny obywatelskiej. Rząd jest głęboko przekonany, że ludność nie zawiedzie tego zaufania”⁴.

Następnego dnia /25 czerwca/ odbyły się strajki i wiece w kilku miastach kraju⁵. Takimi działaniami odpowiedzieli robotnicy na wspomnianą podwyżkę cen.

„Głos Wielkopolski” z dnia 26/27 czerwca przedrukował za Polską Agencją Prasową /dalej: PAP/ „Oświadczenie Prezesa Rady Ministrów”⁶, rozpoczynając w ten sposób kampanię propagandową wobec „wydarzeń” czerwcowych 1976 roku. Stwierdzono w nim, iż opracowany projekt jaki przedstawiono sejmowi oraz całemu społeczeństwu był propozycją, a nie ostateczną decyzją. „Decyzje uznaliśmy od przebiegu wyników dyskusji, od stanowiska, jakie wobec tych problemów i wobec tego projektu zajmą ludzie pracy”.

Dalej zaś pisano, że Rada Ministrów zarządziła utrzymanie dotychczasowych cen detalicznych na artykuły żywnościowe. W końcowej części oświadczenia Piotr Jaroszewicz stwierdził: „Jestem przekonany, że przyjęte to zostanie /decyzja odwołania zmian cen - M.K./ z poczuciem odpowiedzialności, w atmosferze wyjątkowej, zdiscyplinowanej pracy” /podkreślenie moje - M.K./⁷. Z tego zdania można się było jedynie domyślać, że w kraju doszło do napięć i niezadowolonych społecznych w postaci strajków. W komentarzu redakcyjnym zatytułowanym „Uwarunkowania i konieczność” pisano, iż opinie co do decyzji Rady Ministrów wstrzymującej podwyżki cen „mogą być i będą podzielone”. Nikt bowiem kto „myśli nie może zakwestionować oczywistej prawdy, iż nie sposób na długą metę kupować drożej i sprzedawać taniej”. Dalej stwierdzono, iż nikt w kraju nie ma wątpliwości, co do konieczności podwyższenia cen artykułów żywnościowych. Problem zaczyna się pojawiać w chwili, gdy pada pytanie „jak to przeprowadzić?” Wreszcie pisano, że skoro „decyzja odroczenia całej sprawy” nie przyszła łatwo to „tym bardziej umiemy to docenić i przyjmijmy z szacunkiem należnym dużej odwadze i rozumowi politycznemu”⁸.

Z tonu jaki pojawił się w końcowej części artykułu można było jedynie domniemywać, że nie wszyscy umieli to docenić i przyjąć ową decyzję z szacunkiem. Fragment ten wskazywał co uważniejszemu czytelnikowi, że poprzedniego dnia /25 czerwca/ miały miejsce w Polsce strajki.

W poniedziałkowym wydaniu „Głosu Wielkopolskiego” /27 czerwca/ nastąpił szczyt natężenia kampanii propagandowej wobec „wydarzeń” czerwcowych 1976 roku. Zamieszczono materiały stanowiące relacje PAP z sobotnich i niedzielnych wieców jakie miały miejsce w kraju⁹. Było to o tyle ciekawe, że środki masowego przekazu nie podały praktycznie żadnych informacji na temat strajków i demonstracji. Na pierwszej stronie wydrukowano artykuł pt. „Poparcie dla polityki partii oraz rządu. Potępienie burzycieli porządku publicznego”. Przedstawiono w nim, przedrukowując za PAP, dokładne relacje z wieców z poszczególnych miast m.in. Łodzi, Olsztyna, Warszawy. Uczestnicy wieców, jak informowano, „wyrazili potępienie dla tych, którzy dopuścili się nieodpowiedzialnych, niszczących wystąpień w Radomiu i Ursusie”¹⁰.

Inny artykuł z tejże strony pt. „Z całego kraju napływają listy i depesze do Edwarda Gierka”, był także przedrukiem PAP-owskim. Pisano w nim m.in. o tym, iż wszyscy autorzy listów przesyłają „słowo zaufania dla Edwarda Gierka” /i sekretarza PZPR - M.K./¹¹ wyrażając pełne poparcie dla polityki partii /PZPR/ i rządu, dla programu rozwinętego przez VII Zjazd PZPR¹². Po raz pierwszy pojawiły się też zagraniczne echa prasowe z krajów kapitalistycznych „o propozycji zmiany poziomu i struktury cen”¹². W przeglądzie prasy zagranicznej

znalazły się wyrwane z kontekstu tak dobrane zdania „podwyżki stały się ekonomiczną koniecznością”, by dowiedzieć, że prasa zachodnia podziela decyzję partii. Zwraca tu uwagę specjalny dobór tytułów budzących zaufanie i kojarzących się z rzetelnością i obiektywizmem informowania, by wymienić „Financial Times”, „Times”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Reuter”.

Dnia 29 czerwca „Głos Wielkopolski” po raz kolejny zamieścił na pierwszych stronach informacje o masowych wiecach, na których „ludzie pracy” popierali politykę PZPR i rządu, ostro zarazem potępiając „warcholskie elementy”, które niszczyły dorobek Polski¹³. Na pierwszej stronie opublikowany został także komentarz redakcyjny pióra Mariana Flejsierowicza pt. „Dalej tą drogą”. Autor dowodzi w nim, że „nie można tolerować jakichkolwiek zakłóceń zgodnego rytmu pracy obywateli. Dlatego nasz głos w sprawach wydarzeń ostatnich dni musi być potwierdzony naszą postawą przy warsztacie pracy”¹⁴. Na następnej stronie gazety zamieszczono artykuł pt. „Poznańskie załogi pracują rytmicznie”¹⁵. Drukując tę relację chciało przeciwstawić garstce strajkujących „warcholów”, którzy hańbią godność polskiego robotnika, pracującej w pocie czoła klasie robotniczej. Poprzez kontrast, całe społeczeństwo pracuje, a oni „warcholy” /niszczą wspólny dorobek. Chciano w ten sposób wzbudzić u odbiorców agresję i oburzenie na tych, którzy strajkowali.

Wydany w środę /30 czerwca/ „Głos Wielkopolski” informował o rozpoczęciu w dniu 29 czerwca w Berlinie Konferencji Partii Komunistycznych i Robotniczych w Europie z udziałem Edwarda Gierka, który w swoim wystąpieniu przedstawił osiągnięcia gospodarcze Polski ostatnich lat¹⁶. W komentarzu redakcyjnym pt. „Rozwój jako konieczność”, po raz kolejny powrócono do podwyżki cen stwierdzając, że „każdy trzeźwo myślący obywatel zdawać sobie musi sprawę z tego, że zmiana struktury cen jest niewykluczona”¹⁷. Na następnej stronie znalazła się informacja PAP o podwyżkach cen w niektórych krajach europejskich. Pisano, że rząd fiński „podniósł od 1 lipca ceny mleka, masła, margaryny, słodczy”. W toku dalszej lektury okazało się, że w Norwegii „zdrożała niedawno benzyna i olej opałowy”¹⁸.

Informacje te miały służyć tezie, że podwyżka cen jest konieczna i uzasadniona. Polska natomiast nie jest jedynym krajem, gdzie przeprowadza się takie operacje cenowe.

GŁOS WIELKOPOLSKI

Kampanię propagandową zamyka sobotnio-niedzielne wydanie „Głosu Wielkopolskiego” /3/4 lipca/. Znaleźć w nim możemy m.in. przemówienie Edwarda Gierka wygłoszone na spotkaniu z „aktywem robotniczym” województwa katowickiego w hali widowiskowo-sportowej w Katowicach¹⁹, a także relację PAP z tego super-wieczu²⁰, będącego efektywnym finałem kampanii propagandowej jaka toczyła się w kraju wokół „wydarzeń” z dnia 25 czerwca 1976 roku.

Przebieg kampanii propagandowej na łamach „Głosu Wielkopolskiego” świadczy, że była kierowana centralnie. Większość materiałów zamieszczonych w owym okresie to informacje agencyjne /tekst - PAP, fotografie - CAF/. Niewielką część stanowiły materiały redakcyjne. Redakcja nie miała żadnej swobody w doborze materiałów propagandowych, jak i technik rozpowszechniania.

Pomimo, że kampania prowadzona była na łamach dziennika, którego celem jest jak najszybsze informowanie czytelników, niewiele było w nim informacji dotyczących „wydarzeń” czerwcowych. Zakładano, że fakty nieznane czytelnikom z prasy /strajki/ są jej właśnie znane. Podawano informacje o wiecach, na których potępiano coś co się zdarzyło w Radomiu i w Ursusie. Do końca kampanii nie podano, co właściwie tam się wydarzyło. Publikowanie w „Głosie Wielkopolskim” za PAP obszernych relacji z wieców, przytaczanie jednakowych w swej wymowie fragmentów rezolucji miało przekonać odbiorców, iż tak właśnie myśli całe społeczeństwo.

Na uwagę zasługuje również język komunistycznej propagandy. Podwyżka cen została nazwana zmianą struktury cen. Natomiast słowo strajk, to przerwa w pracy. Wynikałoby z tego, że w Polsce nie było ani podwyżek cen, ani strajków. Wartościowania dokonano za pomocą zachowania odpowiedniego szyku wyrazów. Miało to odpowiadać hierarchii zjawisk przez nie oznaczonych np. obowią-

GŁOS WIELKOPOLSKI

żywała formuła „partia /PZPR/ i rząd”, „partyjna i obywatelska dyskusja”, nigdy nie na odwrót. To było niemożliwością.

Na koniec należałoby postawić pytanie, jaki był cel tej kampanii propagandowej prowadzonej na łamach „Głosu Wielkopolskiego”? Po pierwsze miała ona odbudować naderwany autorytet partii - PZPR. Ponadto należało „wytlumaczyć” członkom partii niecodzienną w krajach socjalistycznych decyzję - wycofanie się przez rząd z podwyżki cen. Wreszcie kampania taka potrzebna była Edwardowi Gierkowi, który 29 czerwca 1976 roku przybył do Berlina na Konferencję Partii Komunistycznych i Robotniczych w Europie. Miał on tam być przedstawiony jako jeden z nielicznych przywódców komunistycznych cieszących się poparciem własnego narodu. W związku z tym „wydarzenia” z 25 czerwca należało przedstawić jako hańbiące, gdzie „garstka nieodpowiedzialnych osób” zerwała ogólnonarodowe „konsultacje”.

Próba wprowadzenia podwyżki cen w czerwcu 1976 roku zakończyła się dla władz klęską. Nierozegrana w ekonomii trwała aż do 1 lipca 1980 roku, kiedy wprowadzona po raz kolejny podwyżka cen zapoczątkowała lawinowe strajki. Wypadkową ich było powstanie „Solidarności”.

Marek KOZŁOWSKI

Przypisy

1. J. Karpiński, Polska. Komunizm. Opozycja, Warszawa 1988, s. 309.
2. E. Makowski, Ruch robotniczy w Wielkopolsce. Zarys dziejów do 1981 roku, Poznań 1984, s. 276.
3. Wniosek Rady Ministrów w sprawie propozycji niektórych zmian w strukturze cen detalicznych oraz zasad rekompensaty społeczeństwu tych zmian, „Głos Wielkopolski” /dalej: „GW”/, nr 144 z 25.06.1976 r.
4. Tamże.
5. E. Makowski, op. cit., 276.
6. Oświadczenie Prezesa Rady Ministrów, „GW”, nr 145 z 26/27.VI.1976 r.
7. Tamże.
8. Uwarunkowania i konieczność, „GW”, nr 145 z 26/27.VI.1976 r.
9. Z Wielkopolski zamieszczono tylko jedną relację: Manifestacja społeczeństwa Ziemi Pińskiej, „GW”, nr 146 z 28.VI.1976 r.
10. Poparcie dla polityki partii oraz rządu. Potępienie burzycieli porządku publicznego, „GW”, nr 146 z 28.VI.1976 r.
11. Z całego kraju napływają listy i depesze do E. Gierka, „GW”, nr 146 z 28.VI.1976 r.
12. Prasa krajów kapitalistycznych o propozycji zmiany poziomu i struktury cen, „GW”, nr 146 z 28.VI.1976 r.
13. Na masowych wiecach ludzie pracy popierają politykę partii i rządu, „GW”, nr 147 z 29.VI.1976 r.
14. M. Flejsierowicz, Dalej tą drogą, „GW”, nr 147 z 29.VI.1976 r.
15. Poznańskie załogi pracują rytmicznie, „GW”, nr 147 z 29.VI.1976 r.
16. Zadania w walce o pokój, bezpieczeństwo i postęp społeczny, „GW”, nr 148 z 30.VI.1976 r.
17. M. Flejsierowicz, Rozwojowa konieczność, „GW”, nr 148 z 30.VI.1976 r.
18. Podwyżka cen w Finlandii i Norwegii, „GW”, nr 148 z 30.VI.1976 r.
19. Linia polityczna VI i VII Zjazdu najlepszą drogą do rozwiązania wszystkich naszych problemów, „GW”, nr 151 z 5.VII.1976 r.
20. Spotkanie E. Gierka i P. Jaroszewicza z aktywem robotniczym, „GW”, nr 151 z 5.VII.1976 r.

HAŃBA DLA ŻOŁNIERZY WASZEJ KRÓLEWSKIEJ MOŚCI

9 listopada 1991 władze brytyjskie w Hong-Kongu wznowiły gwałtowny wywóz wietnamskich uchodźców do Wietnamu. Uciekających z narażeniem życia ludzi zadeklarowano jako „emigrację niepolityczną”, przez to, ta okropna akcja nabrała pozoru legalności. Władze przemocą transportowały małe grupy do portu lotniczego, dlatego opinia światowa przyzwyczaiła się powoli do tych akcji, a fale oburzenia nie biją zbyt wysoko. Pewne media - dziwnym sposobem właśnie te, które bronią u nas nieograniczonego przyjmowania emigrantów ekonomicznych - wspierają przymusowe deportacje Brytyjczyków, kiedy opisują prawdziwych politycznych uciekinierów z Wietnamu jako oszustów i odmawiają przyjęcia ich politycznej motywacji. Nie po raz pierwszy brytyjskie wojsko wydaje ludzi pod nóż. Po wojnie 1945 roku wydało Stalinowi z Austrii dziesięć tysięcy Kozaków z ich żonami i dziećmi. Uchodźcy wiedzą, że po przymusowej deportacji do Wietnamu nie czeka ich nic dobrego. Apelują do zachodniego świata, lecz znajdują niewiele posłuchu. W liście do papieża piszą:

„...Ojcze Święty! My, członkowie wspólnoty ponad 60 tysięcy wietnamskich uchodźców którzy obecnie są internowani w obozach w Hong-Kongu, w środku wolnego świata, okazujemy Wam naszą miłość i szacunek, i prosimy o Wasze błogosławieństwo. Od 30 kwietnia 1975 roku, dnia kiedy cały Wietnam zdobyli komuniści, miliony ludzi uciekło z północy na południe Wietnamu, aby zachować kulturalne dziedzictwo i obronić swoje religijne przekonania.

Decyzja opuszczenia naszego kraju powzięta była przez nas w rozpaczliwej sytuacji. Uciekając z Wietnamu całymi dniami musieliśmy błąkać się po głębokim morzu, bezbronni, narażeni na głód i burzę; wielu z nas zostało zabitych lub uprowadzonych przez morskich piratów. Z niejasnych politycznych przyczyn uważani za nielegalnych emigrantów jesteśmy zamykani w więzieniach.

29 października 1991 roku Wielka Brytania i Wietnam podpisały umowę o obowiązku deportacji. My nie chcemy powracać do Wietnamu, choć jest to nasza ukochana ponad wszystko ojczyzna, ponieważ dobrze wiemy, co nas tam czeka: śledztwo, odosobnienie, prześladowanie i kara więzienia. Nie do wiary, że europejska wspólnota za każdy powrót otrzyma od Hanoi 1000 dolarów - tak uciekinierzy staną się walutą wymienianą pomiędzy pozbawionymi serca siłami. Jesteśmy nieszczęśliwymi ludźmi, prześladowanymi w naszym własnym kraju i teraz żyjemy także pełni smutku i strachu na terytorium wolnego świata. Naszym najgorętszym pragnieniem jest powrócić do naszej ojczyzny, skoro tylko Hanoi przywróci prawa człowieka każdemu obywatelowi państwa.

Ojcze Święty, prosimy Cię o przychylność, abyś swoim duchowym autorytetem wstawił się za nas u władz Wielkiej Brytanii i Hong-Kongu, a okrutny plan deportacji wietnamskich uciekinierów upadnie”.

Wspólnota wietnamskich uchodźców w Hong-Kongu, Hong-Kong 3.11.1991 r. (Tekst skrócony, Weltkirche 10/9)

To wielce pożałowania godne, że demokratyczna władza Wielkiej Brytanii gwałci wraz z totalitarnymi władzami Wietnamu prawa człowieka i w ten sposób psuje wizerunek demokratycznych państw (tak zwanych Zachodu) w oczach ciemniejących na całym świecie. Brytyjczycy powinni być nieco wyrozumiali dla „boat-people”, ponieważ bez miliardów dolarów z Moskwy także dni wietnamskich komunistów są policzone. Uchodźcy tęsknią do tej godziny. W tym dniu udadzą się w drogę do domu - pieszo, rowerem, albo łodzią.

Źródło: Für die Menschen Rechte Nr.2, 03/04 1992/



Numer zamknięto 21.06.1992 r. Wydawca: Wydawnictwo „WiS”. Redaguje zespół: Krzysztof Brzechczyn, Maciej Frankiewicz, Romuald Łazarowicz, Zbigniew Rutkowski (red. prowadzący). Adres redakcji: 61-120 Poznań 22, skr. poczt. 59. Stałe punkty kolportażu: Poznań — Klub „WiS” ul. Górna Wilda 106, pon-piąt. w godz. 10 - 18, tel. 33-00-91; Wrocław — Biuro Partii Wolności Pl. Św. Macieja 5 tel. 22-13-32; Łódź - Klub „WiS”, ul. Próchnika 1, l p. pon - środa 17-18.30; Warszawa — Biuro Partii Wolności ul. Smolna 40 III p., tel. 26-47-12. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. Prenumerata: półroczna (gwarantuje otrzymanie 6 kolejnych n-rów od daty wpłaty) — 36.000 zł, roczna (12 n-rów) — 70.000 zł. Prenumerata zagraniczna roczna: zwykła 15\$, lotnicza 30\$. Przekazy pocztowe (z dokładnym adresem prenumeratora i ilości zamawianych egz.) prosimy kierować na adres wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, 61-655 Poznań ul. Gromadzka 23.